Kurjer literacko naukowy

ROK IV. | WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK | NR. 24

Dynastja aktorów

Przed tygodniem dzienniki przyniosły wiadomość o śmierci Juljana Dobrzańskiego, b. artysty sceny lwowskiej.

Ze śmiercią jego zamknęła się piękna karta historji tej rodziny, której członkowie od pięciu pokoleń oddawali swój talent i pracę na rzecz umiłowanej sceny, odgrywając nieposlednią rolę w życiu artystycznem, a niekiedy i społecznem i politycznem miasta.

Protoplastą niejako tej rodziny artystycznej był Witalis Smochowski. Z nazwiskiem tem spotykamy się w dniu 29 marca 1842, w owym pamiętnym dniu otwarcia teatru hr. Skarbka. Było to otwarcie. ściśle biorąc, nieoficjalne, — w myśl bowiem sławetnego „przywileju cesarskiego“ pierwsze, inauguracyjne przedstawienie odbyło się dzień przedtem. Wystawiono mianowicie sztukę Grillparzera „Życie snem“ w języku niemieckim i siłami niemieckiemi.

Zato nazajutrz przemówił do polskiej publiczności ze sceny Fredro w „Ślubach panieńskich“, a w roli Albina wystąpił Smochowski, znany już poprzednio z innych swych kreacyj, zwłaszcza jako Franciszek Moor w „Zbójcach“, wystawionych w roku 1817.

W tejże samej sztuce i w tej samej roli Franciszka Moora żegnał się Smochowski (wówczas już blisko 80-letni starzec) z publicznością lwowską w lutym 1871 roku, przyjmowany entuzjastycznie.

Smochowski wspólnie z Janem Nowakowskim prowadził teatr lwowski w latach 1857—1864. Znakomity aktor, ulubieniec Lwowa, zawiódł po części wielkie nadzieje i oczekiwania. Nie zdołał on utrzymać teatru lwowskiego na właściwym, wysokim poziomie. Tem niemniej wielką jego zasługą było wprowadzenie w latach 1861—1863 na scenę lwowską Słowackiego Balladyny, Marji Stuart i Lilli Wenedy.

* * *

W tym czasie występuje na widownię zięć Smochowskiego, Jan Dobrzański. Człowiek to był o nieprzeciętnej inteligencji i kulturze, — doskonały aktor, reżyser i dziennikarz w jednej osobie.

On to, na łamach redagowanej przez siebie, popularnej „Gazety Narodowej“ rozwija systematyczną, gwałtowną kampanję przeciw panoszącemu się jeszcze wówczas teatrowi niemieckiemu we Lwowie. Kampanję, w której całe społeczeństwo stanęło po jego stronie, a której ostatecznym wynikiem był dekret cesarski z dnia 20 października 1871 roku, znoszący przywileje teatru niemieckiego we Lwowie.

O politycznej działalności Jana Dobrzańskiego w okresie „wiosny ludów“ o jego niesłychanej popularności wśród społeczeństwa całego miasta rozpisywać się nie będę. Ów „trybun ludu“, jak go ironicznie nazywa L. Jabłonowski w swym pamiętniku („Złote czasy i wywczasy“) był wówczas ulubieńcem ulicy lwowskiej i miał na nią niezaprzeczenie olbrzymi wpływ.

Ciągnęła go jednak przedewszystkiem scena. Wraz ze synem swym Stanisławem wchodzi w skład tzw. „Komitetu założycieli“, który przez lata 1872—1874 prowadzi teatr lwowski, Krótkotrwałe te rządy, skutkiem licznych tarć i nieporozumień zewnętrznych, wkrótce ustąpiły miejsca Spółce Artystów. I ta jednak Spółka nie długo utrzymała się przy władzy: W roku 1875 kierownictwo teatru lwowskie go przechodzi w ręce Jana Dobrzańskiego i jego syna, Stanisława.

* * *

Zaczęły się dla sceny lwowskiej złote czasy. Faktycznym dyrektorem teatru staje się od roku 1875 Stanisław Dobrzański, autor grywanego do dziś dnia, zwłaszcza na scenach amatorskich, „Złotego cielca“ i „Żołnierza królowej Madagaskaru“.

Pod jego kierownictwem poziom sceny lwowskiej podnosi się wydatnie. Wśród personelu artystycznego widnieją nazwiska: Teofily Nowakowskiej, A. Aszpergerowej, Adolfiny Zimajer, — z mężczyzn zaś: Ładnowski, Fischer Zboiński, Ruszkowski, Walewski i in.

Jego też pomysłem było utworzenie drugiej scenki „kameralnej“ w salach redutowych teatrzyku Rozmaitości. W repertuarze dominują pisarze polscy (Fredro, Bliziński, Anczyc). Opera wystawia w roku 1877 „Lohengrina“, którego przedstawienie było pierwszem wogóle na scenach polskich.

Niestety, z chwilą śmierci Stanisława Dobrzańskiego (w. roku 1880) skończył się ten świetny okres. Ojciec zmarłego, Jan, próbuje wprawdzie, kosztem poważnych ofiar materjalnych utrzymać teatr na równie wysokim poziomie, — ale mu się to nie udaje.

Po przelotnej, niefortunnej dyrekcji Adama Miłaszewskiego (1881—1882) obejmuje Jan Dobrzański ponownie ster rządów w teatrze lwowskim, trwając na powierzonej mu placówce niemal do samej śmierci, która nastąpiła w roku 1886 w maju.

Zabrał się do tej pracy z całym zapałem, — ale sukces był tylko częściowy: teatr nie zdołał podźwignąć się z upadku, choć posiadał takich znakomitych artystów jak Miecz. Frenkel, Roman Żelazowski, Gostyńska, Kasprowiczowa i Gabr. Zapolska.

Nie lepiej też wypadły czteroletnie rządy (1886—1890) jego córki Celiny do spółki ze Stanisławem Niewiadomskim, a następnie z Wład. Barączem.

* * *

Następne pokolenie, — bo zmarły świeżo we Lwowie Juljan Dobrzański, który już za dyrekcji Hellera dał się poznać publiczności lwowskiej jako prawdziwy artysta z Bożej łaski. Był to pracownik rzetelny, szczerze miłujący swój zawód, człowiek o gołębiem sercu, niesłychanie skromny.

Wreszcie córka Stanisława, która poślubiła znanego śpiewaka operowego Adama Ludwiga, i ich córka, Barbara, artystka sceny krakowskiej. Istna więc „dynastja“, mająca w swej artystycznej tarczy rodowej piękne i cenne klejnoty.

(kr.)

Handel niewolnikami w Polsce XV wieku

W historji stosunków handlowych Polski ze Wschodem w epoce średniowiecza zajmuje Kaffa jedną z bardzo ważnych pozycyj.

Bogata ta i świetnie prosperująca osada genueńska nad brzegami Morza Czarnego założoną została na terenach dawnej Teodozji około roku 1270, urastając wkrótce do znaczenia potężnej twierdzy i najsilniejszej ostoi Rzezypospolitej Genueńskiej.

Wkrótce też nawiązuje Kaffa ożywione stosunki handlowe z Polską, przyczem z racji swego położenia Lwów niemal monopolizuje w swych rękach cały ten handel „towarem wschodnim“.

Jak się stosunki te kształtowały, jakie towary kupcy lwowscy sprowadzali z Kaffy i do niej eksportowali, — o tem prawie do końca czternastego wieku brak jakichkolwiek autentycznych wiadomości. Niewątpliwie przychodziły z Kaffy do Polski korzenie, jedwabie i atłasy, — jak o tem świadczą dochowane akta z XV wieku.

Był jednak jeszcze jeden artykuł handlu, a to „żywy towar“, — niewolnicy. Niewątpliwym na to dowodem jest przywilej króla Kazimierza Jagiellończyka z dnia 2 stycznia 1466 roku. W przywileju tym, obok zwykłych taryf celnych spotykamy wyraźne zastrzeżenie, że od każdego przywiezionego lub przewiezionego przez Polskę niewolnika mają kupcy kaffeńscy opłacać cło w wysokości florena.

Właśnie bowiem kolonje czarnomorskie były w wieku XIV i XV głównem targowiskiem niewolników. Dostarczali tego „żywego towaru“ przedewszystkiem Tatarzy, którzy w czasie swych nieustannych prawie wypraw wojennych zabierali moc jeńców, zarówno mężczyzn. jak kobiet i dzieci, by je następnie dobrze sprzedać. Cena niewolnika dochodziła od 80—130 dukatów za głowę, — zależnie od wieku, zdrowia i urody.

Co więcej, niejednokrotnie i rodzice sami, w latach głodu i nieurodzaju, sprzedawali w niewolę swe dzieci, zwłaszcza dziewczęta, stanowiące bardzo pożądany przedmiot handlu.

Handel niewolnikami rozwijał się wówczas zupełnie swobodnie, nie krępowany żadnemi zakazami, nawet kościelnemi. Było rzeczą zupełnie dopuszczalną trzymanie niewolników pogan i mahometan; jedynie katolicy nie mogli być traktowani jako żywy towar.

Spotykamy w tym czasie niewolników nietylko na Wschodzie, ale i w krajach europejskich, zwłaszcza we Włoszech (Genua, Wenecja, Florencja). Spotykamy ich i w Polsce, przedewszystkiem na Rusi. Akta z roku 1449 mówią o Żydzie Mardocheju z Halicza, który ściga sądownie zbiegłą niewolnicę, zakupioną za 6 kóp groszy. W roku 1441 sprzedaje Stanisław ze Szczepanowa niewolnicę Żydowi; w roku 1448 sprzedaje Andrzej z Siennowa młodego niewolnika Ormianinowi lwowskiemu, Iwanisowi, za dwie kopy.

Są to jednak wypadki sporadyczne: instytucja niewolnictwa, importowana do naszego kraju ze Wschodu, nie przyjęła się nigdy na gruncie polskim.

Natomiast szły często przez Polskę transporty niewolników, wysyłane z Kaffy do Włoch. Wskazuje na to przedewszystkiem wspomniany już wyżej przywilej królewski z roku 1466, zapewniający bezpieczeństwo kupcom kaffeńskim przechodzącym przez Polskę, — świadczy też i owa, po raz pierwszy wprowadzona stawka celna od niewolników. A wreszcie i w dochowanych aktach lwowskich znajdujemy niewątpliwe na to dowody.

Oto w roku 1474 bawi we Lwowie kupiec genueński, zawodowy jak się zdaje handlarz żywym towarem. Janotus Lomellinus. Wiezie ze sobą z Kaffy transport niewolnic, wśród których znajdują się nawet dwie katoliczki, oraz dwie wyznawczynie obrządku wschodniego. Przypuszczalnie pod naciskiem opinji publicznej cztery te niewolnice wyzwolił za swego pobytu we Lwowie.

Handel żywym towarem, uprawiany przez Kaffę, nie trwał długo. Z chwilą zajęcia miasta przez wojska tureckie, w roku 1475, Kaffa straciła na zawsze swe handlowe znaczenie, a stosunki jej z Polską zerwały się ostatecznie.

(R.)

Turcja na przełomie

W związku z 25 leciem objęcia władzy w państwie Ottomanów przez młodoturków, prasa paryska maluje interesujący obraz skomplikowanej gry politycznej starej miedzynarodowej dyyplomacji w takiem środowisku różnorodnych światowyych interesów i intryg, jakiem zawsze był Konstantynopol, a w szczególności w przededniu wielkiej wojny.

Walka kolosów międzynarodowych doszła do największego napięcia w epoce osławionej koncesji Bagdadskiej kolei. Z brzegów Bosforu rozległ się dzwonek alarmowy, zmuszając Anglików do rewizji swej zagranicznej polityki, w pierwszym zaś rzędzie, — do sformowania Ententy, jako potężnej koalicji przeciwgermańskiej.

Wśród podanych przez prasę wiadomości, nieznanych ogółowi, na szczególniejszą uwagę zasługuje istniejący jeszcze za panowania cara Aleksandra III plan nagłego, bez wypowiedzenia wojny, zawładnięcia cieśniną Bosfor. Jednak wobec śmierci cara, projekt ten został zaniechany i dopiero po kilku latach został wznowiony z inicjatywy ambasadora rosyjskiego przy Wysokiej Porcie, p. Nielidowa. Dyplomata nalegał na rychłe wykonanie tegoż projektu, wobec spodziewanych w Turcji zasadniczych zmian w organizacji obrony kraju. Wówczas w Pałacu Zimowym odbyła się, zachowana w ścisłej tajemnicy, konferencja, na której przedstawiciele armji całkowicie zaaprobowali stanowisko ambasadora Nielidowa. Został nawet wypracowany plan nagłego ataku ze strony morza, przyczem, jako sygnał do ofenzywy, ambasador miał w odpowiedniej chwili nadać uprzednio zakonspirowaną depeszę.

Do Sewastopolu zwożono zewsząd broń i amunicję, co nie uszło uwagi tamtejszego konsula angielskiego, który niezwłocznie powiadomił dowódcę Śródziemnomorskiej floty angielskiej, stacjonowanej u brzegów Malty. Niewątpliwie, Anglicy przeszkodziliby Rosjanom w wykonaniu misternie obmyślanego planu, wobec czego Rosjanie zażądali odwołania sprytnego brytyjczyka, lecz temu sprzeciwił się Foreing-Ofice, prosząc o wskazanie faktu przewinienia lub nietaktownego zachowania się swego konsula w Sewastopolu.

Niewiadomo, czem skończyłaby się ta cała historja, gdyby nie interwencja wszechwładnego wówczas w Rosji oberprokuratora Synodu, K. Pobiedonoscewa, sprawującego funkcje ministra wyznań religijnych, który wytłumaczył młodemu monarsze nierozważność tego kroku, sprzecznego z dotychczasowem postępowaniem Rosji.

Autokratyczne rządy sułtana Abdul-Hamida spowodowały ruch rewolucyjny. Emigracja młodoturecka, działająca pod wpływem organizacji wolnomularzy francuskich — „Wielkiego Wschodu Francji", zbliżyła się do przedstawicieli krańcowej opozycji — Ormian i Macedończyków. Rozpoczęła się energiczna propaganda w armji. Korzystając z przekupstwa tureckiej administracji, loża masońska w Salonikach stała się ośrodkiem tej propagandy, gdzie spiskowcy, podzieleni na zakonspirowane „piątki", werbowali nowych zwolenników rewolucji. Jednak rząd zwalczał członków organizacji „Jedności i Postępu", którzy ukrywali się, jak mogli.



Galata, dzielnica portowa Konstantyno pola.

Między innymi, dwaj oficerowie-spiskowcy znaleźli schronienie w gmachu ambasady rosyjskiej. Radzono nad sposobami przewiezienia ich poza granicę Turcji. Sprowadzony fryzjer ogolił głowę i wspaniałe wąsy porucznika Dżachida, którego zaopatrzono zamiast fezu w melonik. — W nocy sekretarz agenta marynarki wyprowadził zbiega na ulicę, pod opieką marynarzy rosyjskich, i cały orszak skierował się w stronę Bosforu. Po drodze trzeba było przeciąć plac arsenału Top-Chane, u bramy którego znajdował się na warcie żołnierz turecki. Chwila była najbardziej ryzykowna, gdyż ogłoszony został „wyjątkowy, i w stolicy władze urządzały obławy na rewolucjonistów. Wartownik mógł zatrzymać podejrzanych ludzi i wezwać strażników. Jednak gdy usłyszał, że idą „moskow-asker" (żołnierze rosyjscy), przepuścił ich, salutując. Koło nadbrzeżnej oczekiwała uciekiniera łódź z okrętu ambasadora „Kołchida". — W taki sposób uratowano i drugiego znanego młodoturka Dżawidbeja. Obaj wkrótce zostali przewiezieni do Odessy, otrzymawszy materjalne poparcie.

Nici ruchu młodotureckiego t...mał w swoich rękach ambasador angielski sir Gerald Lawter, kwitnący zdrowiem, wysoki, barczysty Anglik. Wbrew wschodniemu zwyczajowi, nakazującemu, aby poseł zjawiał się na ulicy wyłącznie w powozie, przedstawiciel W. Brytanji często spacerował po Pera w towarzystwie jedynego tylko kawasa (sługi).

Natomiast ambasador niemiecki baron Marschal von Biberstein, lekceważąc ruch młodoturecki, był otwartym zwolennikiem starego reżimu, przez co zaskarbił sobie wielkie uznanie krwawego władcy Turcji. Baron ze swą niepomierną tuszą robił przygnębiające wrażenie, czemu niemało sprzyjał surowy wyraz jego twarzy z głęboką szramą na policzku, — śladem pojedynku z lat studenckich. Słabostką jego była dobra kuchnia, o czem wiedzieli przy dworze sułtana, przesyłając mu w prezencie większe okazy ryb i drobiu.

Niedługo triumfowała reakcja, gdyż w 1909 r. wyruszyły z Salonik wierne młodo-turkom pułki II armji w sile 20.000 ludzi, na czele z Machmud-Szefket paszą. Wreszcie Konstantynopol został zajęty, zaś zgromadzenie narodowe w San-Stefano zdetronizowało „krwawego" sułtana. Głównym terenem walk był pałac Ildyz Kiosk, który został zdobyty szturmem. Przezorny wódz powstańców przysłał dla obrony poselstw oddziały tureckiej szkoły podchorążych. Pośród zabitych około koszar Taksimskich okazali się dwaj angielscy dziennikarze, obserwujący zbliska działania wojenne. Ogólna ilość ofiar z obu stron nie przewyższała 2.000, ranionych zaś było około 5000.

Rozpoczęła się zemsta zwycięzców... Nad Złotym Rogiem, na placach i mostach, zawiśli na szubienicach zwolennicy reakcyjnych rządów. Komitet „Jedności i Postępu" stał się panem sytuacji, polityczny zaś wpływ w kraju automatycznie przeszedł z rąk posła niemieckiego — do rąk angielskiego.

Ententa wywyższała wodzów młodotureckich, porównując ich z bohaterami wielkiej francuskiej rewolucji, lub też z mężami stanu Italji: jak z Garibaldim. Spodziewano się doniosłych reform społecznych, przedewszystkiem zaś, zaniechania metodów okrutnej polityki względem Ormian.

Jednak Europa przeceniła polityczną wartość prowodyrów Enwera, Tallahata, Midchat-Szukri i in. którzy odznaczając się energją i inicjatywą, jednakże intelektualne nie podnieśli się ponad poziom współczesnego społeczeństwa tureckiego. Wzięty na barki ciężar rządzenia obszernym jeszcze państwem przewyższał ich siły. Młodoturcy wkrótce zrozumieli, że nie będą mogli utrzymać się przy władzy bez uporządkowania finansów i należytej gospodarki. Obalony rząd gnębił ludność pozaturecką, w rękach której zostałześrodkowany kapitał. Nie mogli więc nowi władcy iść tą samą drogą. Jeżeli zaś mieli korzystać z tego źródła środkami legalnemi, to trzeba było wzamian udzielać znacznych koncesji politycznych co jednak było w sprzeczności z ideologją partji. W rezultacie wytworzyło się zaczarowane koło, z którego nie było wyjścia.

Masonerja, która zawsze szczyciła się tem, że wszędzie wprowadzała w życie wzniosłe idee wolności, równouprawnienia i braterstwa ludów, tym razem zdjęła swoją obłudną maskę, pokazawszy prawdziwe oblicze. Znajdujące się pod wpływem i bezpośrednią opieką masonów koła młodo-tureckie poczęły rządzić z całą bezwzględnością. Wkrótce rząd odrodzonej Turcji kierował się zasadami zdetronizowanego Abdul-Hamila. W armji instruktorami okazali się Niemcy, we flocie — Anglicy z wice-admirałem Hemdel na czele, w charakterze zaś doradców skarbu — Francuzi.

Wreszcie po krwawych powstaniach w Albanji, Mezopotamji i Macedonji, oraz niepowodzeniach polityki zewnętrznej, miejsce młodo-turków zajął koalicyjny gabinet Gazi-Muchtar Paszy, 80 letniego starca, bohatera rosyjsko-tureckiej wojny 1817 — 1879 r.

K.

Czy Mickiewicza otruto?

Zagadnienie to rozpętało przed paru laty gwałtowną polemikę na łamach prasy codziennej i fachowej.



Charakterystyczny widok z Konstantyno pola: jeden z meczetów ze smukłemi wieżyczkami strzelającemi śmiało w górę.

Powszechnie i oddawna już uznanej tezie o śmierci Mickiewicza skutkiem panującej podówczas w Konstantynopolu cholery przeciwstawiono wersję o otruciu wieszcza arszenikiem, a to ze względów politycznych.

Cenny przyczynkiem w tej interesującej kwestji jest praca, jaka pojawiła się niedawno w wychodzącem w Paryżu czasopiśmie „Hippokrates", poświęconem ogólnym zagadnieniom z historji i filozofji medycyny.

Obszerna ta praca, zatytułowana „Czy Adam Mickiewicz zmarł śmiercią naturalną?", ma tem większą wartość, że autorem jej jest lekarz, prof. Franciszek Walter. Autor opiera się w swych wywodach na wyczerpujących biografiach Kallenbacha i Pigonia, oraz na współczesnych listach i relacjach lekarzy i osób, które stykały się w Konstantynopolu z Mickiewiczem i miały go w swojej opiece.

Przedewszystkiem ustala prof. Walter jako fakt niezbity, że w czasie pobytu Mickiewicza w Konstantynopolu grasowała w mieście tem cholera i to w formie szczególnie gwałtownej.

Stwierdza to ponad wszelką wątpliwość Hirsch w swojem dziele poświęconem tej sprawie.

Dalej zwraca prof. Walter uwagę na możliwość zachorowania Mickiewicza na czerwonkę lub ostry nieżyt jelit w czasie jego częstych wycieczek do obozu Sadyka Paszy w Burgas, gdzie nie liczono się zbytnio z warunkami i wymaganiami hygjeny i djetetyki.

Znaną zaś i stwierdzoną jest rzeczą że ludzie, którzy przechodzili czerwonkę i znajdują się w stadjum rekonwalescencji szczególnie mało są odporni na zakażenie bakterjami cholery, która w podobnych wypadkach z reguły ma przebieg bardzo ostry i gwałtowny, sprowadzając śmierć po kilkudziesięciu godzinach.

Oczywiście, wywody prof. Waltera nie załatwiają definitywnie całej sprawy. Jedynie sekcja zwłok, przeprowadzona bezpośrednio po śmierci, mogłaby dać rozstrzygającą odpowiedź na pytanie czy zaszedł tu wypadek otrucia, czy śmierci naturalnej.

Podkreślić jednak należy, że tym razem zabrał głos wybitny lekarz, a więc człowiek fachowy, umiejący wyzyskać należycie cały materjał historyczny, jaki miał do dyspozycji.

Wnioski jakie z tego wyprowadził, zasługują na większą uwagę i wiarę, niż dyletanckie artykuły zamieszczane w pismach literackich. W takich wypadkach bowiem jedynie historycy medycyny i lekarze mogą wypowiedzieć się w sposób stanowczy i właściwy.

Dlatego pracę prof. Waltera, opublikowaną w języku francuskim, powitać należy z zadowoleniem, — zamyka ona dyskusję w przykrej, a niepotrzebnie rozdmuchiwanej do rozmiarów sensacji sprawie.

Świat wrażeń wzrokowych u żółwi

Słusznie może ktoś zapytać, przeczytawszy powyższy tytuł, jaki może mieć interes człowiek w tego rodzaju dociekaniach naukowych.

A jednak okazuje się, że jest to problem niezwykle interesujący, a wyświetlenie go rozszerza horyzont naszej wiedzy z zakresie biologji.

W badaniach w tej dziedzinie biorą udział i uczeni polscy. W świeżo wydanym „Roczniku Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego" zamieścił R. J. Wojtusiak na powyższy temat bardzo interesującą pracę, z którą w krótkości czytelników naszych zapoznamy.

W biologji współczesnej — pisze we wstępie d. swej pracy p. Wojtusiak — coraz bardziej utwierdza się pogląd, że do należytego zrozumienia życia zwierzęcia nie wystarczy znać dobrze tylko jego budowę i funkcjonowanie poszczególnych organów, jako części składowych tak a tak zbudowanego ustroju, ale nadto trzeba wziąć pod uwagę i środowisko w którem ustrój ten żyje Wszystkie czynniki zewnętrzne są ściśle ze sobą związane i razem też składają się na świat otaczający istotę żywą, którego zasadnicze znaczenie dla strukturalnego i funkcjonalnego różnicowania się organizmów, docenił jako jeden z pierwszych już przed stu laty E. Geoffroy St. Hilaire. Termin przez niego wprowadzony „le monde ambiant", a w odniesieniu do subjektywnego obrazu, jaki otoczenie zwierzęcia w niem wywołuje, zręcznie przetłómaczony przez J. Nex Küll'a na „Umwelt" (amolant — okrążający, otaczający), jest też dziś w powszechnem użyciu. Zależnie od rozmaitej budowy poszczególnych gatunków zwierzęcych i różnorodnych funkcyj, ich narządów zmysłowych, oraz wobec rozmaitości warunków ekologicznych, owo środowisko, w jakiem ustrój postrzega i działa, każdemu zwierzęciu przedstawiać się musi inaczej. Dopiero przy uwzględnieniu zewnętrznych ram gatunkowego życia i w zależności od właściwości środowiska, staje się zachowanie się zwierząt w swych specyficznych formach dla nas przynajmniej po części zrozumiałem.

Badania nad swoistemi funkcjami zmysłów zwierzęcych jak receptorów wrażeniowych, rozwijające się w ostatnich czasach tak potężnie, obok rozwiązywania zagadnień natury czysto fizjologicznej, pozwalają nam równocześnie wglądnąć w życie wewnętrzne zwierzęcia tj. w jego psychikę, dając nam tutaj w ogólnych zarysach pewne wyobrażenie o subjektywnym obrazie świata, jaki w związku ze sprawnością zmysłów w świadomości zwierzęcia powstaje. W tem zagłębianiu się w wewnętrzne reakcje zwierząt wyżej uorganizowanych na ich życiowe środowisko najważniejszą rolę odgrywają badania nad światem wrażeń wzrokowych, w szczególności nad wrażliwością na barwy i kształty, jak również nad pamięcią i owem utrwaleniu wrażeń wzrokowych. Wiemy n. p. jak decydująca rola przypada wrażeniom wzrokowym przy wyszukiwaniu pokarmu i odnajdywaniu się płci, w jak znacznej mierze informują zwierzę o wrogach. Dokładna znajomość tego świata percepcyj przyczynić się może nieraz do takich wyjaśnień, jak znaczenie ubarwienia i ukształtowania godowego ubarwień ochronnych, odstraszających itp.

Oto obszerne wyjaśnienia całego problemu i uzależnienie wielkich interesów naukowych przy badaniu świata wrażeń wzrokowych krokodyli, jaszczurek, żółwi itd.

Oczywiście trudno nam tu streszczać przebieg badań p. Wojtusiaka.

Pracę swoją odnośnie do świata barw u żółwi przeprowadził w miesiącach zimowych i letnich 1932 roku w Zakładzie Zoologicznym w Getyndze Inną część pracy, obejmującą zagadnienie kształtów przemiotów, wykazał w roku 1932 i z początkiem 1933 roku w Zakładzie Psychogenetycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Zarówno w jednym jak i drugim wypadku subwencjonował prace Fundusz Kultury Narodowej.

Wyniki swoich badań ujmuje p. Wojtusiak następująco:

W stosunku do innych grup kręgowców i człowieka wykazują żółwie wyraźne różnice tylko w zmyśle barw W zdolności rozróżniania kształtów, wielkości i położenia istotnych różnic wykazać niepodobna. Odrębność swego świata barw zawdzięczają żółwie bezwątpienia obecności w oku barwnych kulek tłuszczowych.

Żółwie dadzą się tresować bardzo dobrze na barwy i kształty. Tresura polega na przyswojeniu sobie przez żółwia pewnej określonej barwy lub kształtu jako sygnału wabiącego.

Przy użyciu barwnych papierów powiodła się tresura na pięć barw zasadniczych: czerwoną, żółtą, zieloną, niebieską i fioletową. Szereg ten nie wyczerpuje wszystkich barwików na które tresura byłaby możliwa.

Żółwie odróżniają barwy jakościowo i od stopni szarości.

Można je tresować na określoną jasność, zarówno szaro zabarwionych papierów, jak i światła przepuszczone przez filtry.

Zdolność odróżniania stopni szarości jest u żółwi rozwinięta znacznie słabiej, aniżeli zdolność rozróżniania barw. Są one w stanie odróżniać tylko bardzo oddalone od siebie stopnie szarości, leżące między barwą czysto białą i zupełnie czarną.

W obrębie barw widmowych udaje się tresura na dwanaście kolorów. Jest rzeczą prawdopodobną, że powiodłaby się ona na jeszcze liczniejsze inne odcienie.

Granice widzialności barw w obrębie widma pokrywają się mniej więcej z zakresem ich widzialności u człowieka. Żółwie widzą barwy, zawarte pomiędzy długością fali 760 milimikronu i 401 milimikronu.

Największą czułość na odcienie okazują żółwie w obrębie barwy pomarańczowej przy 634 milimikronu. Dalsze, słabsze maxima na polu barwy zielono - niebieskiej przy 504 milimikronu i w fiolecie.

Stwierdzono dla żółwi trzy główne klasy jakościowe barw, które przypadają na pola w barwie pomarańczowej zielonej i fioletowej, a oddzielone są od siebie barwą żółto - zieloną i niebieską. W związku z tem, że w stosunku do zmysłu barw u człowieka, maximum wrażliwości na różnice między barwami przesunięte jest u żółwi z barwy żółtej ku pomarańczowej, barwy żółta i żółto - zielona należą — perceptywnie — do grupy pomarańczowej. Barwa czerwona oddziela się od tej klasy i zbliża się do klasy fioletowej.

W porównaniu z rybami odznacza żółwie wzmożona wrażliwość na różnice w dziedzinie barw czerwonych. W okolicy barwy zielonej, a szczególnie niebieskiej, zdolność odróżniania jest bardzo słaba, w strefie fioletowej nieco wyższa.

U żółwi można wykazać podobieństwo między najskrajniejszemi barwami krótko i długofalowemi, a więc istnienie zamkniętego kręgu barw.

Żółwie odróżniają jednobarwne figury geometryczne lub głoski na podstawie ich kształtów.

Poszczególne figury geometryczne przedstawiają dla żółwi, jak i dla nas, rozmaity stopień podobieństw i różnic. Uszeregowane stopnie wzajemnego ich podobieństwa dla żółwi odpowiadają w zupełności szeregowi podobieństw, jakie figury te przedstawiają dla człowieka.

Żółwie są w stanie odróżniać figury jednobarwne na podstawie różnic w ich położeniu przestrzennem lub wielkości.

Przy dłuższem wykonywaniu doświadczeń z dwiema figurami, występuje u nich po pewnym czasie skojarzenie wtórne figury negatywnej z pokarmem, które przygłusza skojarzenie pierwotne i zmienia tę figurę na figurę tresurową, tresurową zaś na negatywną. Po pewnym czasie skojarzenie to znika.

W sposobie reagowania zwierząt dadzą się wykazać różnice osobnikowe, co świadczy o wyższym stopniu ich zróżnicowania psychicznego wogóle.

—::—

Wrażenia z kongresu „Penklubu"

w Barcelonie

Barcelona, w czerwcu.

Niezliczona ilość pięknych miast na świecie — oto jeden z powodów trudnego wyboru miejsca dla międzynarodowych zjazdów. Tym razem wybór miasta w zupełności odpowiadał kongresowi „Penklubu". Barcelona — oto wspaniała, okazała stolica Katalonji, która miała zaszczyt gościć uczestników zjazdu We dnie kąpie się w promieniach słonecznych, nocą zaś jaśnieje kaskadą świateł o niezliczonej wprost ilości lampionów.

Porównać Barcelony z innemi miastami niepodobna. Paryż również płonie nocą, lecz palmę pierwszeństwa należy oddać Barcelonie. Tutaj ulice nocą nie są oświetlone, lecz toną w najrozmaitszego rodzaju iluminacji.

Południowcy lubują się w przepychu i rzeczywiście pod tym względem przewyższają inne narody. Nic więc dziwnego, że kobiety zarówno we dnie, jak i w nocy, spacerują malowane, pudrowane i wytwornie wystrojone po ulicach, zupełnie jak po balowej sali. Chcę wykorzystać także i nocne efekty świetlne i tem podkreślić swoją urodę, która osobliwie w tym kraju cieszy się wyjątkowym kultem i pietyzmem.

Uczestnicy kongresu odnieśli wiele zadowolenia, bowiem katalończycy wykazali niezwykłą uprzejmość i serdeczność wobec gości. Zrobili wszystko, co było w ich mocy, aby przyjezdni poznali cały kraj, oraz kulturalne życie tego narodu. Wspaniałe wycieczki i bankiety dopełniały przemiłych chwil przybyłym do Barcelony literatom.

Poza muzeami, pamiątkami „Penklubiści" mieli możność zaznajomienia się z uczonymi duchownymi i zakonnikami, którzy drukują Biblję. Goście osiągnęli maximum zadowolenia ze zjazdu na łonie gór, morza, pod modrem, gwiaździstem niebem. Kongres zaszczycili swoją obecnością najbardziej znani i najlepsi pracownicy pióra.

Chociażby obecność H. G. Wells'a mogła zadość uczynić satysfakcji wszystkich członków „Penklubu". Śmiało można dać temu wybitnemu pisarzowi o 15—20 lat mniej, niżeli ma w rzeczywistości. Niedarmo sam mistrz na jednym ze swych portretów, wykonanych w Hiszpanji, napisał: Stanowczo w porównaniu z oryginałem za stary i ociężały! — Opowiadają, że Wells miał rozmowę z Maksymem Gorkijem, dotyczącą sprowadzenia sowieckich pisarzy do związku „Penklubu". Jednak po tej rozmowie, widocznie doszedł do przekonania, że w Zachodniej Europie wolność słowa i myśli są zupełnie inaczej zrozumiałe, niż we wschodniej jej części.

Pełen radości i z promieniującą twarzą wyjechał z Barcelony przedstawiciel Italji Marinetti. Delegat włoski otrzymał zapewnienie, że w roku 1937 kongres obierze placówkę w Rzymie (w przyszłym roku członków kongresu zaprosił do siebie Buenos-Aires). Obietnicę tę należy przypisać nowemu duchowi Italji. W roku 1929 i 1930 były prezes związku „Penklubistów", zmarły w roku ubiegłym Gallsworthy, dawał ostre odpowiedzi delegatowi włoskiemu, w związku z możliwością urządzenia kongresu we Włoszech. Od tej pory w zasadach dyktatury Mussoliniego nic się nie zmieniło, jedynie uległy metamorfozie poglądy na tę kwestję. Teraz ci, którzy poprzednio wielu rzeczy nie pojmowali, obecnie zrozumieli swój błąd.

Między wieloma gośćmi egzotycznymi wyróżniała się na kongresie przedstawicielka Indji misiss Zofja Wadia. Pani Wadia, czystej krwi hinduska, porozumiewała się z kolegami po francusku, angielsku i hiszpańsku. Na wszystkie niedyskretne pytania, kim jest jej mąż, elegancka kobieta odpowiadała dyplomatycznie: „Mój mąż jest Hindusem". Egzotyczna niewiasta zwracała uwagę wszystkich zarówno pod względem wykształcenia, jak i wybitnej elegancji. Codzienne zmiany wykwintnych tualet, jak również przepych modnych, przez nią roszonych, kreacji, — świadczyły o tem, że mąż pisarki jest nieprzeciętnie zamożnym człowiekiem.

Wszystkich delegatów obdarzał szczodrym uśmiechem Chińczyk Chi-Siung. W Chinach słyną jego poezje. Jedna z jego najlepszych sztuk szła 750 razy w teatrze londyńskim.

Tak przynajmniej oznajmiono na bankiecie.

Na zjeździe słychać było mieszaninę wszelkich języków, lecz górował język francuski. Narzeczem katalońskim także władało wiele osób. Jeden z „Penklubistów" katalońskich zaskoczył gości mową polską. Przyjezdni oniemieli ze zdziwienia, kiedy Hiszpan zaśpiewał po polsku: „Oczy czarne". Okazuje się, że żona jego jest Polką. Znalazł ją i przywiózł sobie w romantycznych okolicznościach.

Wiele czasu i troskliwej opieki poświęcił członkom zjazdu sekretarz miejscowego „Penklubu" p. Emiljo Karger, Rumun z pochodzenia, lecz wychowany w Katalonji. Uprzejmego młodzieńca panie przezwały „ruchliwem djablątkiem".

Olśniewała wszystkich nieprzeciętnem wykształceniem i wyjątkową znajomością języków obcych — polska delegatka Jadwiga Piewnarska.

Uczestnicy kongresu z zapasem niezatartych wrażeń, oraz bodźcem do dalszej owocnej pracy rozjechali się do swych krajów.

R. M.

Złoto w morzu

Chemik Sonstadt w r. 1872 ogłosił, że w wodzie morskiej znalazł złoto. Stwierdził on, badając morze u brzegów Anglji, że w 1 tonie wody jest około 58 miligramów czystego złota. Okazało się, że 60 miligramów złota to największa zawartość. Niektóre morza mają go mniej, jak n. p. Adrjatyk zaledwie 3 miligramy. Szwedzki uczony Svanto Arrchenius obliczył w r. 1930, że wszystkie oceany świata zawierać mają aż 8 miljardów ton złota, przyczem w rachunkach swych był bardzo powściągliwy, przyjmując 1000 kg wody dla 6 zaledwie miligramów złota.

———

Odyssea Rachmaninowa

Od Nowogrodu do Paryża

Tę mocna głowa Kozaka, o włosach przyciętych w szczotkę, o oczach przysłoniętych ciężkiemi powiekami i gorzkim wyrazie ust, była chyba stworzona do noszenia czapki „korpusu paziów" petersburskich.

— Mój ojciec nie żartował z moją karjerą, wyznaje p. Rachmaninow. W epoce mojego dzieciństwa, uważano za hańbę występowanie na deskach scenicznych i wogóle wszelkie produkowanie się przed publicznością. Chociaż więc okazywałem wybitne zamiłowanie do muzyki, a w szczególności do fortepianu, rodzice moi nie przywiązywali do tego najmniejszej wagi.

W guberni nowogrodzkiej, typowej prowincji rosyjskiej, odmalowanej wielokrotnie w powieściach autorów słowiańskich, spędzałem więc moje najpierwsze lata na grywaniu dla przyjemności własnej i jak sądzę, mojego otoczenia.

Moje postępy musiały być szybkie i przekonywujące, jeżeli pewnego pięknego dnia, po krótkiej naradzie familijnej, zamiast do szkoły, przygotowującej chłopców do korpusu paziów, zapisano małego Sergjusza do Konserwatorjum w Petersburgu. Zaznaczam, że liczyłem wówczas zaledwie dziewięć wiosen.

W ten sposób moja droga została wytyczona; pozostało jedynie udowodnić moje uzdolnienie i zrealizować nadzieje rodziny. Cóż, kiedy tutaj czyha' na mnie bożek lenistwa. Wygrywał ze mną wszystkie pojedynki.

Chętnie, wracając z kazańskiej katedry, wygrywałem z pamięci pieśni, usłyszane w czasie Mszy świętej. Ale sylabizować w klasie alfabet muzyczny, to było ponad moje wątłe siły. Tak przemarnowałem trzy pierwsze lata, przeznaczone na studja.

W 1885 r. postanowiono oddać mię do innej szkoły. Wyjechałem do Moskwy i kontynuowałem studja w tamtejszem Konserwatorjum. Mój nowy profesor Zwierew, dzięki zbawiennej surowości dopomógł mi w odrobieniu straconego czasu i w przepędzeniu precz bożka, o którym wspomniałem. Dzięki też Zwierewowi, który znalazł przypadkiem próbkę moich wiadomości z dziedziny kompozycji, spotkało mię najwyższe wyróżnienie, o jakiem mógł zamarzyć uczeń: mistrz Czajkowski we własnej osobie, zechciał wysłuchać swojego „Manfreda" w mojej wykonaniu. Od tego pierwszego zetknięcia datuje się jego troskliwość w stosunku do mnie, i skończy się dopiero ze śmiercią mistrza.

Zobaczmy teraz sytuację. Chłopiec, o którym mowa ma lat czternaście; jest pilny; zainteresowanie, którem go zaszczyca Czajkowski dodaje mu skrzydeł. Czem będzie? Wirtuozem, czy kompozytorem?

* * *

Wybrałem tę drugą możliwość. Wymienię Wam kilka utworów z mojej młodości: koncert fortepianowy, kilka romans, jedna symfonja, jedna „pieśń bez słów".

Tymczasem, lata mijały; i oto końcowy egzamin zbliżał się do nas krokiem olbrzyma, pukał do naszych drzwi. Dostaliśmy następujące zadanie: skomponować muzykę do jakiegoś tekstu puszkinowskiego. Moja „Aleko" otrzymała złoty medal. Dzięki inicjatywie i staraniom Czajkowskiego, wystawiono ją w Teatrze Wielkim w Moskwie.

Byłbym szczęśliwy, gdyby nie jedno: zdrowie mojego dobroczyńcy poczęło słabnąć. Czajkowski umarł. Wszystko się dla mnie zmieniło. Gdy zabrakło tego, który mię podtrzymywał i wierzył we mnie, wykreślono nielitościwie moje utwory z repertuaru. Przeżyłem pięć ciężkich lat..."

Sergjusz Rachmaninow przerwał swoje opowiadanie. Może wspominał rozpaczliwe gonitwy po Moskwie w poszukiwaniu kilku prywatnych lekcyj, które miały napełnić chudą kieszeń jakiemiś piętnastoma rublami?

— Sądzę zresztą, że te przejścia wyszły mi na dobre. Ubóstwo hartuje duszę artysty. Trzeba poznać cierpienie, by zrozumieć sztukę.

„Ten okres niepowodzenia skończył się nagle. Jedno moje preludjum na fortepian spodobało się do tego stopnia, że zostałem wezwany do Londynu przez tamtejszą Filharmonję. Lubię ten utwór, napisany w dwudziestym roku życia, uzyskał jeszcze uznanie i aprobatę Czajkowskiego".

Tak więc autor „Śpiącej królewny" i „Łabędziego jeziora" nietylko pokierował karjerą muzyka, który mu jest nieskończenie wdzięczny, ale pośrednio patronował też jego tryumfowi. Bo, od tej chwili widzimy Sergjusza Rachmaninowa w pełni powodzenia. Choć wraca od czasu do czasu do Rosji, koncertuje głów nie zagranicą. Rewolucja rozłącza go definitywnie z ojczyzną. Przywłaszcza go sobie Ameryka, ale nie na długo, nigdy na długo. Jak wszyscy wielcy wirtuozi, nie może sobie Rachmaninow pozwolić na spokojne życie. Jestże z tego zadowolony?"

— Dlaczegożby nie? Niech Pan posłucha. Wracam z Anglji: piętnaście koncertów. Przygotowuję się do tournée po Hiszpanji. Następnie Zeppelin, z którym nie sympatyzuję zbytnio, przeniesie mię do Ameryki. Trochę zmęczenia podróżowaniem zapomina się tak łatwo, gdy u kresu drogi oczekuje nas uśmiech powodzenia...

M. O.

Meteorologja w stratosferze

Gwałtowny, a wspaniały rozwój lotnictwa otworzył przed meteorologją zupełnie nowe horyzonty.

Człowiek, zdobywca powietrza, wzbija się już dzisiaj w przestworza, osiągając na samolocie wysokość ośmiu do dziesięciu tysięcy metrów.

Loty te do granic tzw. „troposfery" wymagają nietylko osobistej odwagi i znakomitego opanowania techniki latania: człowiek - ptak, bujając w przestworzach, narażony jest na cały szereg poważnych zaburzeń atmosferycznych, wobec których jest zupełnie bezsilnym i bezradnym.

Cóż on może wiedzieć, wzbijając się w powietrze, co go czeka na wysokości 2, 3, czy 5 tysięcy metrów? Odpowiedzi na to nie da mu żadne, najlepiej nawet urządzone obserwatorjum meteorologiczne ze swemi barometrami, hygrometrami, termometrami i anenometrami, rejestrującemi zjawiska atmosferyczne w najbliższem stosunkowo bardzo ograniczonem, otoczeniu.

Meteorologja stanęła zatem przed nowem zadaniem: znacznego rozszerzenia zakresu swych badań. Trzeba było iść w górę, na tysiące metrów ponad powierzchnię ziemi. Trzeba było znaleźć sposoby umożliwiające robienie obserwacyj i zapisków aż do granic troposfery.

* * *

Zaczęto od latawców i balonów na uwięzi, co jednak wkrótce okazało się niewystarczającem, podobnie jak i balony wolne, nie nadające się do metodycznych obserwacyj.

„Stratostat" prof. Piccarda również nie rozwiązywał kwestji, — podobny bowiem wzlot w stratosferę, to impreza bardzo kosztowna, wymagająca długich przygotowań, — nie może zatem wchodzić w rachubę, gdy idzie o systematyczne, codzienne niemal obserwacje.

Pozostają więc tylko dwie metody umożliwiające tego rodzaju obserwacje meteorologiczne: samolot i „balon-sonda". Z obu tych środków meteorologja korzysta dzisiaj w znacznej mierze. Na światowych wielkich lotniskach codziennie rano wzlatuje lotnik wraz z obserwatorem do wysokości 7.000 metrów, by zapomocą radja przekazywać swe obserwacje centralnej stacji meteorologicznej, która na podstawie otrzymywanych raportów układa odpowiednią prognozę.

Lepsze jednak usługi oddaje balon-sonda, mający pozatem i tę wyższość, że można go użyć w każdem miejscu i o każdej porze, przy stosunkowo bardzo niewielkim wydatku.

Jest to kauczukowy balon o średnicy około 80 ctm., napełniony wodorem. W przeczepionym do niego koszyku znajdują się wszystkie precyzyjne instrumenty, notujące automatycznie temperaturę, ciśnienie powietrza i stopień wilgoci. Całość nie waży więcej jak 2 kg.

Balon taki wznosi się normalnie do wysokości 10—12 tysięcy metrów, gdzie jego powłoka kauczukowa pęka w znacznie rozrzedzonem powietrzu. Moment pęknięcia da się zgóry w przybliżeniu obliczyć i dowolnie regulować, zależnie od jakości i wytrzymałości kauczuku.

Z tą chwilą, dzięki odpowiedniemu urządzeniu, przyczepiony do balonu koszyk z instrumentami spada powoli na ziemię. Szybkość tego spadania łagodzi mały spadochron, otwierający się automatycznie.

Jak uczy doświadczenie, w dziewięćdziesięciu procentach koszyk z instrumentami dostaje się z powrotem do odnośnego obserwatorjum. Wewnątrz koszyka znajduje się dokładna instrukcja, dokąd go należy odesłać, za co zresztą wyznaczona jest pewna nagroda pieniężna.

Oczywiście można tego rodzaju sondowanie przeprowadzać i na większej jeszcze wysokości, przyczem i rozmiary balonów muszą być odpowiednio większe. Tak więc np. balon-sonda, wypuszczony w roku 1914 w Pawji, miał średnicę 1,90 mtr. i osiągnął rekordową wysokość 37 kilometrów. Są to jednak eksperymenty bardzo kosztowne, a interesujące tylko szczupłe grono specjalistów.

* * *

I ta jednak metoda ma swoje niedogodności. Obserwacje uskutecznione przez „balon - sondę" dostają się do właściwego obserwatorjum ze znacznem zazwyczaj opóźnieniem, nieraz nawet większem niż tygodniowem. Skutkiem tego tracą one dużo aktualności, zwłaszcza w wypadkach, gdy idzie o jakiś wielki raid powietrzny czy inną imprezę, w której życie ludzkie może być na szwank narażone.

Trzeba więc było znaleźć sposób na to, by — podobnie jak to się dzieje w samolotach — z balonem - sondy nadawane były stale i bezpośrednio obserwacje meteorologiczne drogą radjową.

Po długich próbach i to zagadnienie doczekało się rozwiązania. W marcu 1927 roku poraz pierwszy z balonu - sondy, wypuszczonego z obserwatorjum w Trappes, nadchodziły automatyczne notowania meteorologiczne przesyłane na krótkich falach z wysokości 13 tysięcy metrów do obserwatorjum.

System ten ulegał w ciągu następnych lat coraz większemu ulepszeniu — i dzisiaj balony - sondy, przekazujące automatycznie drogą radjową obserwacje meteorologiczne, są w powszechnem użyciu. Najodpowiedniejszą okazała się do tych transmisyj fala krótka, 14-metrowa.

* * *

W ścisłym związku z temi obserwacjami pozostała wielka międzynarodowa impreza meteorologiczna w latach 1932—1933, zwana „Rokiem Polarnym", — w której i nasi uczeni brali udział.

Nazwa „Roku Polarnego" nie zupełnie odpowiada istocie rzeczy, — obserwacje bowiem robione były nietylko w okolicach podbiegunowych lecz nawet i na równiku.

Coprawda, główny nacisk położono właśnie na okolice podbiegunowe, szło bowiem o ustalenie zasad cyrkulacji powietrza na całej kuli ziemskiej, ze szczególnem uwzględnieniem tych mas zimnego powietrza, które z okolic podbiegunowych spływa ku strefie umiarkowanej.

One to są najgroźniejszym wrogiem lotnika. Skoro dostaną się w strefę umiarkowaną, w zetknięciu z ziemią i morzem ulegają ogrzaniu w dolnych warstwach, podczas, gdy warstwy górne nie podlegają tej akcji. Wytwarzają się skutkiem tego gwałtowne wiry powietrzne, ulewy i burze: dolne, ogrzane warstwy, jako lżejsze, starają się wznieść w górę ruchem wertykalnym. Górne, zimniejsze, starają się opadać ku dołowi. Stąd te nagłe zmiany temperatury, stąd te zaburzenia atmosferyczne, zagrażające poważnie lotnikowi.

Taki cel miały właśnie naukowe wyprawy, organizowane w „Roku Polarnym". Cel, zdawałoby się, czysto naukowy i teoretyczny, — a pozwalający meteorologji na zorganizowanie służby informacyjnej dla lotnictwa, dla zapewnienia mu maximum bezpieczeństwa w powietrzu.

I w tym wypadku — jak w wielu innych — nauka ścisła idzie ręka w rękę z postępami nowoczesnej techniki.

(R.)

Niespodzianka Rockefellera

Anatol France nie chciał doczekać się późnej starości, mówiąc, że po siedemdziesiątce człowiek staje się już anachronizmem. — Jeżeli mężczyzna pozostaje obojętny na wdzięki młodej, ładnej niewiasty i nie nęci go ani wyszukana potrawa, ani kieliszek dobrego wina, — to już nie ma po co żyć! — Tak pisał słynny pisarz. Jednak sam nie zastosował się do swej teorji, gdyż, będąc już nawpół trupem, chciał nadal żyć. Gdyby ktoś zapytał go na łożu śmierci, dlaczego tak pragnie życia, napewno odpowiedziałby, że dla istniejących jeszcze wartości intelektualnych.

Amerykański miljarder John Rockefeller dosięgnął wieku 95 lat. Nawet wszystkie premjowane piękności razem nie zdołałyby rozbudzić jego zastygłej krwi. Żołądek miljardera pogardza nawet wykwintnemi potrawami, przyjmując pożywienie jedynie w postaci mleka kobiety - matki. Opowiadają, że Rockefellera nie opuszcza 5 mamek, które towarzyszą mu we wszystkich jego podróżach.

Nikt nie wie, jakiego rozmiaru majątek posiada ten współczesny krezus. Najprawdopodobniej sam miljoner nie zdaje sobie sprawy z tego, gdyż posiada interesa najróżnorodniejszych gałęzi. Poszczególne części jego bajecznej fortuny zmieniają się w zależności od notowań giełdowych, cen na naftę i stal, oraz dochodowości należących do niego kilku linji kolejowych. Dzisiaj jego tereny naftowe oszacowane są, dajmy na to, na 500 miljonów dolarów, jutro zaś wartość ich może się podnieść o 10 procent, lub też zmniejszyć się. To też ścisłego rachunku nie mają nawet zarządcy jego rozległych przedsiębiorstw. Nie może być również o tem poinformowany skarb państwa, który co rocznie szacuje jego dochód w przybliżeniu na 7 i pół mil. dol.

Skąpy nawet do sknrstwa w prywatnem życiu z łatwością ofiarowuje miljony dolarów na uniwersytety, instytucje naukowe i różnego rodzaju cele społeczne. Pismo „Sunday Rewiew" przytacza następujące zdarzenie: w 1930 roku u Rockefellera zjawiła się delegacja uniwersytetu w Chicago, który egzystuje jedynie dzięki jego poparciu, i już jako ofiarę otrzymał od miljonera około 30 miljonów dolarów. Delegacja zgłosiła się z ponowną prośbą o subsydjum, co też zostało niezwłocznie przez gospodarza uskutecznione, a co dziwniejsze, że suma wypisana na czeku wynosiła 5 miljonów dolarów. Uprzejmy filantrop zatrzymał gości u siebie na obiedzie. Po posiłku każdemu z gości podarował, jak zwykł był czynić, 10-cio centową monetę na szczęście. Charakterystyczne jest jednak, że po wyjeździe delegacji, Rockefeller zawezwał gospodynię, żądając rachunku, a gdy go przejrzał, nie omieszkał zrobić jej scenę za to, że wydała zadużo pieniędzy na karczochy.

Nikt nie wie, jaki testament przygotował starzec. To intryguje nietylko społeczeństwo amerykańskie, lecz przedewszystkiem jego rodzinę, która się obawia, że cały majątek przejdzie w ręce instytucyj filantropijnych i kulturalnych. Niedawno w prasie amerykańskiej ukazała się sensacyjna wiadomość: podobno, Rockefeller oświadczył, że jeżeli dożyje do stu lat, to uczyni coś tak niezwykłego, że zadziwi cały świat!

W Stanach Zjednoczonych ludzie łamią sobie nad tem głowy. Jakim czynem może on zadziwić świat? Oczywiście cudu tego dokonają pieniądze. Jest to jedyne źródło jego wszechwładzy.

Ostatnio jakiś dziwak z Rochesteru przed śmiercią zapisał cały swój majątek około 10 miljonów dolarów na rzecz wszystkich tamtejszych mieszkańców. Ponieważ to miasto liczy około 350.000 osób, przeto na każdą osobę pdzpadłoby około 30 dolarów. Z pewnością w ten sposób Rockefeller nie wyjawi swej ostatniej woli.

Tyle się mówi o obietnicy bogacza, dotyczącej testamentu, i wszyscy wyczekują z tak wielkiem zainteresowaniem momentu jego ogłoszenia, że pismo „Sunday Rewiew" urządziło na ten temat ankietę. Nadesłane odpowiedzi nie są zbyt ciekawe. Wiele z tych osób ofiarowałoby miljard (taki jest mniej więcej majątek Rockefellera), rządowi. Już rząd poradziłby sobie z olbrzymią kwotą. Jeden z uczestników konkursu jest zdania, aby wybudować olbrzymią wieżę na kilkaset pięter, która stanowiłaby zabytek współczesnej kultury. Inny, bardziej praktyczny yankes ofiarowałby cały miljard na organizację robót publicznych na szeroką skalę. Ten uczynek z jednej strony podniósłby poziom kulturalny kraju, z drugiej zaś, dałby możność pracy miljonowym rzeszom bezrobotnych. Trzeci natomiast użyłby całej sumy na organizację międzyplanetarnej komunikacji. Znalazł się i taki fantasta, który zaproponował zdeponowania całego majątku w niezachwianych bankach z tym warunkiem, aby kapitał razem z procentami przeznaczony został na organizację przemysłowo - handlowego przedsiębiorstwa... na Marsie. Nie zaszkodzi czekanie kilkuset lat, tem więcej przybędzie procentów i z jednego - miljarda zrobi się 10, 20.

Rockefeller do takich fantastów nie należy, jest bowiem człowiekiem trzeźwym i zdecydowanym. Szkoda tylko, że ta wielka niespodzianka ma nastąpić dopiero za pięć lat, gdyż przez ten czas dużo może się jeszcze zmienić.

K.

Genjusz zdrady

Jeśli by kto wątpił, że studja historyczne są ustawicznem stawaniem się, wystarczyłoby przytoczyć przykład „Talleyrand'a" Lacour-Gayet'a, dzieło mistrzowskie, które zdawało się wyczerpywać przedmiot. Tymczasem praca autora pobudziła i wyjawiła wiele nowych dokumentów, które, jeden po drugim, rzucają nieubłagane światło na postać ex-biskupa Autun; te dowody, dorzucone do aktów procesu — bo biografia zawsze trochę przypomina proces — nie negują w niczem konkluzyj pana Lacour-Gayet; przeciwnie wzmacniają je i podkreślają wszystko co mroczne, podejrzane i zagadkowe w postępowaniu tego rodzaju genjusza, „najzdolniejszego ministra, jakiego miałem", mówił Napoleon; wyciągają na światło dzienne różne ciemne knowania tego kreta dyplomacji.

Tom „Różnych" o Talleyrandzie, który wyszedł ostatnio, nie ustępuje poprzednim*); każdy epizod nowo przedstawiony i skompletowany, dodaje nowego rysu niewzruszonej napozór fizjognomji, tego wielkiego mistrza w udawaniu. Z ciekawością patrzymy na wielkiego pana, biskupa i dyplomatę, którego nazwisko wypełniło czterdzieści lat historji Francji.

Kiedy w 1830, r. świeżo wypuszczony z więzienia piosenkarz Beranger uzyskał pośledniejszego gatunku popularność, która miała mu towarzyszyć aż do drugiego Cesarstwa, Talleyrand wyraził chęć widzenia się z nim. Punkty styczne były dość nieliczne, pomiędzy tym liberałem, szczycącym się swem niskiem pochodzeniem, a wielkim panem, który przeszedł przez Rewolucję, bez splamienia swych szat zbyt widocznie; łączyła ich jednak wspólna antypatja, żywiona ku Bourbonom. Spotkanie nie było łatwe i doszło do skutku dopiero po wielu ceregielach: Talleyrand i Beranger stali naprzeciwko siebie jak dwie potęgi, jak dwaj władcy, którym godność nie pozwala na złożenie jeden drugiemu wizyty. Pierwszy, ze swą krótszą nogą i swojem szlachectwem brzydził się wyjść na Monmartre dla zobaczenia piosenkarza, drugi nie chciał pójść na ulicę Saint-Florentin, gdzie się zgotowało wskrzeszenie Cesarstwa. Pogodził ich wkońcu bankier Laffitte; Talleyrand okazał się uroczym i mówił o polityce. Beranger, nie żywiąc bynajmniej sympatji do tego arystokraty, który zdradził Napoleona i „który sobie kazał zapłacić za traktat paryski z 1814", nie mógł się powstrzymać od zachwytu nad jego dowcipem, „który był błyskotliwem ukoronowaniem jego głębokiego, zdrowego rozumu". Talleyrand miał doskonały sposób bycia ludzi z dobrego towarzystwa, którzy się nie peszą mniej wytwornym sposobem bycia innych.

Nieufność, sympatja i uznanie, oto są prawdziwe uczucia Beranger'a. Co powiedziałby jednak ten republikanin z 1792, nienawidzący tyranji Bonapartego i zawdzięczający Napoleonowi rozgłosu, gdy poznał bezeceństwa współbiesiadnika od Laffitte'a?

Znanem jest zresztą zachowanie się Talleyranda, gdy 28 stycznia 1809, oburzony jego zdradą cesarz, zmieszał go publicznie z błotem i obsypał grubiańskiemi wyzwiskami. Arystokrata przyjął spokojnie tę powódź obelg i zadowolił się uśmiechem, pełnym współczucia: „Jaka szkoda, że tak wielki człowiek jest tak źle wychowany". Przyjął, schował i czekał swojej godziny.

Pan Lacour-Gayet przypomina, a propos pewne przysłowie korsykańskie: „zemstę się je na zimno". I rzeczywiście nigdy zemsta nie była przygotowana tak umiejętnie i z tak drobiazgową dokładnością. Talleyrand przeżuwa swą nienawiść, lecz jego blada twarz pozostaje zamknięta i nieruchoma, rzekłbyś „gęsta zasłona, za którą nie widać duszy". Już 29 stycznia widzi się z ambasadorem Austrji Metternichem, a w niespełna miesiąc, pisze ten ostatni w liście na Ballplatz:„ (Talleyrand) zdjął maskę... Powiedział mi, że nadeszła chwila, w której uważa za swój obowiązek nawiązania bezpośredniego kontaktu z Austrją. Dał mi do zrozumienia, że potrzebuje kilkuset tysięcy franków". To wszystko odbyło się w największej tajemnicy. Talleyrand, jakkolwiek nie jest już ministrem spraw zagranicznych, pozostaje jednym z najznaczniejszych dygnitarzy Cesarstwa i jako taki wypowiada swe słowo rozważnie i przyzwoicie, o ile tego wymagają okoliczności: gdy pod Ratysboną, Napoleon został raniony w nogę, pisze mu bez wstydu: „Twoja sława, Sire jest naszą dumą, ale życie Twoje — naszą egzystencją". Oto co jest pięknie powiedziane; ale Metternich wie, ile warte są te dworskie grzeczności, on zna indywiduum: zdrajca, który zdradza z talentem i potrafi przytem obłowić się sowicie.

* * *

Napoleon mawiał do Montholona: „Soult i Talleyrand mają jedną cechę wspólną; obydwaj robią z wszystkiego pieniądze, potrzeba im pieniędzy i ciągle pieniędzy." Dyplomata nie miał skrupułów marszałka i jego normy postępowania. Recepta jego działania brzmiała: „Zrobić olbrzymią fortunę". Nie krył się z tem zresztą wcale i przyznawał przed przyjaciółmi do swojej pasji. Za nic na świecie nie chciałby powrócić do niefortunnych czasów Dyrektorjatu, kiedy usiłując ocalić głowę, wegetował z dziesięcioma ludwikami w kieszeni; i jego szczerość nie jest kompletna, gdy się zwierza Vitrolles'owi: „Widzi Pan, nie można, nie wolno być biednym. Co do mnie, to zawsze byłem bogaty." Niewiele brakowało, a byłby przypisał sobie powiedzenie Nelsona: ubóstwo jest grzechem nie do wybaczenia.

Ocenił więc swą zdradę na kilkaset tysięcy franków, a jego prestige i jego wartość były tak wielkie, że Austrja ani myślała się targować. „Jakkolwiek wysoką wydawałaby się ta kwota, pisał Metternich do ministra Stadiona, jest ona mniejszą ofiarą niż wiele innych, które się w podobnych wypadkach ponosi, a rezultaty użycia go, mogą być olbrzymie. Proszę Waszą Ekscelencję o najwyższą kalkulację" i Ekscelencja odpisuje bezzwłocznie: „Cesarz (Franciszek I) rozkazał mi dać Panu carte blanche w sprawie X..., i jest Pan upoważniony do zapewnienia mu wszystkiego, czego zażąda, jeśli Pan będzie pewny, że zechce i potrafi oddać nam rzeczywiste i cenne usługi". X... chciał i mógł: nastąpiło porozumienie między Paryżem a Wiedniem, korzystne dla obu stron; państwa nieprzyjacielskie, po Franciszku I car Aleksander, utrzymywali specjalnych agentów przy panu de Talleyrand.... a on chował pieniądze do kieszeni po cichu aż do chwili gdy w przeddzień upadku Napoleona odrzucił precz maskę, zbierając publicznie owoce swej działalności. 1814—1815 stały się błogosławionemi laty, w ciągu których ten doświadczony artystokrata, bywalec dworski posiadający sztukę popychania ugalonowanych marjonetek, pomnożył swój majątek i za jednym zamachem dokonał swej zemsty.

Mimo wszystko nie czuł się jeszcze dostatecznie pomszczonym: nawet po zesłaniu Napoleona nie zaznał spokoju, póki mu nie posłał na Świętą Helenę szpiega w osobie byłego pułkownika Montchenu. „Cóż za męka dla człowieka pokroju Bonapartego, współżycie z głupim i upartym gadułą. Ja go znam; on nie przeżyje tej nudy, rozchoruje się i umrze powolnem konaniem". Ale ta machinacja nie udała się Talleyrandowi. Kiedy zameldowano pułkownika, Napoleon, który znał wszystkich ludzi swojej epoki, zawołał: „To straszy dureń, generał od karety, który nigdy w życiu prochu nie powąchał. Nie mogę go widzieć, niech idzie precz". Montchenu nie został nigdy przyjęty w Longwood. Cesarz umarł powolnem konaniem, ale na skutek innych przyczyn.

* * *

Czy po obaleniu Napoleona odzyskał Talleyrand spokój? Czy puścił w niepamięć doznane upokorzenie? O nie! W cesarskich archiwach w Wiedniu w 1933 r. odkryto dokumenty, stwierdzające przewrotność tego mściciela z wysokich sfer towarzyskich. Dwunastego stycznia 1817 popadłszy w niełaskę, ale spodziewając się odzyskać znaczenie u boku Ludwika XVIII, pisze Talleyrand do starszego wspólnika Metternicha, że jest gotów sprzedać mu swoją korespondencję z Napoleonem od 1799 do 1813. Istny list kra-

*) Talleyrand, t. IV (Payot)

marza, zachwalającego swój towar: „Jest to niezaprzeczenie najpiękniejsza kolekcja, jaką można dostać... Wszystko jest autentyczne, podpisane przez niego i tworzy dwanaście dużych paczek". A może motywy tego postanowienia były najszlachetniejsze? Osądźcie sami: „Byłem i pozostanę zawsze Francuzem i to dobrym Francuzem, cokolwiek mówiono-by o mnie z moją krzywdą; ale Pan wie, że będąc raz Francuzem, byłbym najbliższym stania się Austrjakiem. Temi uczuciami powodowany pragnąłbym, aby ta cenna i miejscami kompromitująca partja historji współczesnej była w pańskich rękach".

Jakże mądrze to było obmyślane! Jak w roku 1809, taksamo i teraz, Meternich nie pozostał głuchym: w tych dwunastu dużych pakietach mógł, a nawet musiał się znaleźć niejeden dokument nieprzyjemny dla panującego domu Austrji: układy, dotyczące projektu małżeństwa z Marją-Ludwiką; rola Austrji w stosunku do Francji, podczas wojny z Rosją, a potem z Niemcami. Szantaż udał się w zupełności i Metternich przyjął ofertę. A cena? Talleyrand odsłonił karty i wyłuszczył swe żądania w delikatnej formie: „Gdybym się układał w tej sprawie z którem z innych mocarstw Europy, moje zamiary byłyby następujące: żądałbym pięciuset tysięcy franków. Jeżeli te papiery będą odpowiadały Jego Cesarskiej Mości, oznaczy ich cenę, a ja każdą uznam za dobrą. Tylko jeden mały warunek: niechaj suma zostanie wręczona oddawcy".

Austrja, taksamo jak ośm lat temu, nie dyskutowała i 17 czerwca 1819 pan de Talleyrand składał między akta swych zdrad sumę, zarobioną w ostatniej transakcji.

Chateaubriand, którego Pamiętniki posiadają wartość historyczną o wiele wyższą, niż się sądzi naogół, przeczuwał te podejrzenia praktyki. Dzisiaj są one udowodnione i można się tylko podpisać pod sądem Napoleona: „Pan de Talleyrand był ustawicznie w stadjum zdradzania; ale działo się to zawsze z udziałem fortuny."

M. O.

Lwowskie miejskie kulturalne zbiory

Nieliczne dziś grono starszego pokolenia Lwowian zachowało w pamięci rok 1891, kiedy młody wiekiem Dr. Aleksander Czołowski, lecz znany już autor kilku cennych rozpraw historycznych. objmował kierownictwo bezcennej skarbnicy dla dziejów Lwowa: „Archiwum Miejskiego". Wiedziano, że osoba archiwarjusza daje pełne gwarancje czysto naukowego kierunku; wszak wychowanek wiedeńskiego uniwersytetu, ostatnio zaś jeden z bliższych i ulubionych uczniów niezapomnianego Xawerego Liskego musiał budzić w społeczeństwie naszego miasta nadzieje jak najlepsze co do losu powierzonej mu instytucji naukowej. Rzeczywistość najbliższych i późniejszych lat przeszła najśmielsze oczekiwania świata kulturalnego Lwowa. Już w r. 1892 Dr. Czołowski otworzył dla badań naukowych „Archiwum Miejskie", w kilkanaście lat później powołał do życia „Muzeum Narodowe im. Króla Jana III.", zkolei „Muzeum Historyczne m. Lwowa"; zasłużony dla kultury naszego miasta archiwarjusz organizuje podręczną „Bibljotekę Archiwalną"; dyr. Czołowski, wspólnie z Rutowskim stwarza „Galerję Sztuki"; niezmużony i pełen inicjatywy współdziała w pozyskaniu dla miasta „Zbiorów Bolesława Orzechowicza", ostatnio wreszcie wespół z Aleksandrem Prusiewiczem organizuje „Muzeum Etnograficzne".

W przedwojennych latach powstały w naszem mieście instytucje, których znaczenia wysokiego dla kulturalnych interesów Lwowa nikt dziś kwestjonować nie może. „Archiwum Miejskie" łącznie z „Bibljoteką" — to pierwszorzędny warsztat badań naukowych nad historją naszego miasta; umiejętnie zinwentaryzowane zasoby tejże instytucji, jeszcze przez Wagilewicza i Raspa, ostatnio zaś przez obecnego wicedyr. Dra Karola Badeckiego dało różnym pracownikom naukowym impuls do zajęcia się historją Lwowa. Wykonanie planu organizacji Archiwum jest od szeregu lat zadaniem wicedyr. Dra Badeckiego, który ukończył inwentaryzację ksiąg i aktów administracyjno-sądowych z lat 1382—1787, przyczem szczegółowo i krytycznie opracowana inwentaryzacja objęła w dwu kartotekach 1 140 ksiąg, 110 fascykułów i 174 indeksów i sumarjuszy, tworząc podstawę do ustrojowego, grupowego i chronologicznego ich układu, a temsamem podstawę do opanowania i wydania drukiem ich Katalogów. I tak Dr. Badecki poświęcił kilka prac dziejom ludwisarstwa lwowskiego, ostatnio zaś dał nauce programowe studjum p. t.: „Archiwum m. Lwowa, jego stan obecny oraz potrzeby organizacyjne, inwentaryzacyjne i wydawnicze" i w związku z tą pracą przygotował do druku pierwszy tom: „Księgi i akta administracyjno-sądowe 1382—1787".

W swojem podstawowem studjum dał Dr. Badecki pogląd na etapy organizacyjne i inwentaryzacyjne „Archiwum" od jego zawiązku, scharakteryzował jego obecny stan i, przedstawił projekt przyszłych, koniecznych prac organizacyjno-inwentaryzacyjnych. W związku z tem opracował Dr. Badecki „Projekt wydawnictwa katalogów archiwalnych" — temsamem zaś zrealizowania „Inwentarza archiwalnego" — tak pożądanego oddawna, zarówno dla miasta, jak i pracowników naukowych. W ten sposób dzięki jego żmudnej, od lat prowadzonej pracy Archiwum przechodzi obecnie przez fazę gruntownej reorganizacji.

Dr. Stanisław Rachwał reprezentuje w „Archiwum" walory pióra przeznaczonego dla szerszej publiczności. Drugi pracownik archiwalny, Dr. Józef Skoczek, historyk kultury ze szczególnem uwzględnieniem dziejów naszej oświaty, wydał cały szereg poważnych prac, poświęconych dziejom średniowiecznego Lwowa. Na czele kroczą: „Dzieje lwowskiej szkoły katedralnej". Dr. Łucja Charewiczowa, kustosz „Muzeum historycznego", szeregiem nader cennych prac rozświetla kulturalno - gospodarcze dzieje Lwowa.

Autorka wielu cennych prac z przeszłości Lwowa ostatnio opracowała obszerne źródłowe studjum p. t.: „Czarna kamienica i jej mieszkańcy" — które niebawem opuści tłocznię drukarską.

Pod innym kątem widzenia należy oceniać działalność instytucyj muzealnych. W przeciwieństwie do „Archiwum" są to instytucje par excellence żywe. Mają one przedewszystkiem kształcić szerszą publiczność, zależnie od kierunku swych zbiorów, wyrabiać w szerszych warstwach kulturę historyczną, artystyczną etc. Pod wytrawnem kierownictwem Czołowskiego, przy czynnem współpracownictwie Rudolfa Mękickiego, zaszczytnie znanego znawcy muzealnictwa, rozwijają lwowskie muzea działalność ożywioną i jak najbardziej owocną. Świadczą o tem rozliczne specjalne wystawy, nie mówiąc już szerzej o tej wewnętrznej, dla ogółu niewidocznej, a przecież mrówczej pracy całego personalu muzealnego w kierunku racjonalnej konserwacji zbiorów, ich należytego zinwentowania, powiększania wreszcie systematycznego. Moment ostatni na szczególne natrafia trudności wobec szczupłych zasobów finansowych, spowodowanych dzisiejszem przesileniem gospodarczem.

„Muzeum historyczne m. Lwowa" wykazuje liczne w ostatnim czasie nabytki, uzyskane przeważnie w postaci darów. Z dotacji zakupiono cykl barwnych akwafort J. Kratochwil-Widyńskiej, przedstawiających "Kramy lwowskie", założono specjalny album, obejmujący zdjęcia kamienic przed usunięciem z nich portali wystawowych i reklamowych szyldów i po ich usunięciu. Ukończoną została inwentaryzacja kartkowa rycin, a w toku pozostaje segregacja i inwentaryzacja wielkiego zbioru fotografij, odnoszących się do Lwowa.

Powiększyły się dalej zbiory „Muzeum Narodowego im. Króla Jana III" — przedewszystkiem z powodu przesilenia finansowego, zmuszającego właścicieli do pozbywania się cennych zabytków i pamiątek rodzinnych. Z tego powodu zbiory wzrosły o 665 okazów. Z ogółu nabytków na szczególną uwagę zasługują liczne portrety olejne o znaczeniu historycznem oraz ciekawe okazy starej broni.

"Zbiory Bolesława Orzechowicza" oraz „Galerja Narodowa m. Lwowa" reprezentują walory wysokiej kultury artystycznej. W ostatnich czasach „Galerja" powiększyła się znacznie. Wśród nabytków należy wymienić 26 obrazów i miniatur, między nimi znakomite portrety malarzy lwowskich, — zbiór obrazów ś. p. Witolda Pruszkowskiego. głośny „Pochód na Sybir" — „Wiosnę" — „Wierzbę" i inne. Dar A. Hajdeckiego przyniósł „Galerji" dziesięć obrazów malarzy polskich i obcych, a liczne inne dary wzbogaciły artystyczną kulturę Lwowa. Bezpośrednio nad zbiorami „Galerji" czuwał i inwentował je naukowo asyst. Dr. Jerzy Güttler. Niestety, brak odpowiedniego pomieszczenia dla „Galerji" uniemożliwia wystawienie całości bezcennych jej zbiorów, to też stworzenie odpowiedniego pomieszczenia, godnego zebranych dzieł sztuki tworzy gorące pragnienie wszystkich kulturalnych sfer miasta.



Ratusz lwowski z wieżą z XVII wieku, która docnowała się w tej postaci do początków XIX wieku.



Historyczny „lewek" z przed lwowskiego ratusza.

Tworzy się wkońcu nowe ognisko kulturalne: „Muzeum Etnograficzne". Powstaje z hojnego daru p. Aleksandra Prusiewicza, b. dyrektora Muzeum w Kamieńcu Podolskim, ofiarodawcy na rzecz Gminy swych bogatych zbiorów etnograficznych, gromadzonych przez długie lata. Stały się one podstawą dla powstającego we Lwowie nowego Muzeum. Uporządkowaniem i naukowem ujęciem tych zbiorów zajmuje się sam ofiarodawca, a obejmują one okazy z zakresu sztuki i przemysłu ludowego z sześciu regjonalnych działów: lwowskiego, stanisławowskiego, tarnopolskiego, podolskiego, wołyńskiego i poleskiego. — Główną ozdobę powstającego „Muzeum Etnograficznego" tworzy jeden z największych w Europie zbiór haftów-ludowych w ilości 4.500 sztuk, naszytych na kartony, uporządkowanych według województw i ich powiatów. Dopełnieniem całego zbioru jest bibljoteka etnograficzna, licząca około 750 dzieł z zakresu etnologji, demografji, zdobnictwa i przemysłu ludowego.

Społeczeństwo Lwowa z dumą może spoglądać na plon prac miejskich instytucyj kulturalnych; bardziej dokładny przegląd tych wszystkich, dalekosiężnych zamierzeń, czy urzeczywistnionych planów znajdą czytelnicy w wydanem przez Gminę „sprawozdaniu" z działalności wymienionych instytucyj. Jedno jest niewątpliwe: pełny rozkwit zawdzięczają owe instytucje wszechstronnemu pełnemu inicjatywy, niestrudzonemu strażnikowi kultury starego Lwowa, Dyr. Dr. Aleksandrowi Czołowskiemu.

ALEKSANDER MEDYŃSKI.

Produkcja rtęci w Europie. Pierwsze miejsce w produkcji światowej rtęci zajmują Włochy, w których kopalnia Idria dostarcza 40.6 proc. ogólnej produkcji. Za Włochami idzie Hiszpanja (22 proc.) ze swemi kopalniami w Almaden, których eksploatację objął od r. 1921 rząd hiszpański. Dostarcza ona około 30 tysięcy flaszek rocznie, każda o wadze 34 pół kg.

Ostatniemi czasy pojawiła się na rynkach europejskich rtęć eksportowana z Meksyku i Stanów Zjednoczonych, a to co wpłynęło wybitnie na obniżenie ceny tego artykułu.

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Pisaliśmy niedawno o „symfonj bieli". Otóż obecnie, gdy wkraczamy w sezon letni, — kolor biały święci popro stu tryumfy. Pojęcie „bieli" stało się jednak wcale elastyczne i szerokie, obejmując całą gamę odcieni, od błękitnego do żółtawego. (Ten ostatni odcień prezentuje się doskonale zwłaszcza przy sztucznem świetle).

Najpraktyczniejszym, a najodpowiedniejszym w mieście jest kolor brudnobiały.

— Z materjałów najpopularniejsze są obecnie rozmaite płócienka, z których robi się zarówno kostjumy, płaszcze, pelerynki, jak i torebki, kapelusze i rękawiczki.

— Bluzki z jedwabiu imprime bywa-ją często pod szyją mocno ściągnięte zawiązywane na sznureczek, co przypomina potrochu stroje ludowe, zwłaszcza huculskie.

— Letnie sandały, wygodne, lekkie a zgrabne, nosi się nietylko na plaży, ale i w mieście do skromnej płóciennej sukienki, czy nawet do ozdobniejszej toalety wieczorowej.

— Wracają znowu egretki przy fryzurach wieczorowych, wracają wachlarze i pelerynki ze strusich piór, a nawet przybrania z piór w jasnych, mocnych kolorach przy sukniach wieczorowych.

— Ważną rolę odgrywa odpowiednio dobrany pasek, ożywiający najskromniejszą nawet sukienkę. Paski skórzane, matowe lub lakierowane, utrzymane są w żywych, jaskrawych nawet barwach. Oryginalne są najnowsze zapięcia metalowe, fantastycznie poskręcane w spiralne desenie.

— Wszędzie pełno kwiatów. Całe bukiety i girlandy, zdobiące suknie wieczorowe. Nie przypina się ich na ramieniu ani pasie: duże wiązanki zdobią dekolt, girlandą sztucznych kwiatów przystrajamy głowę, albo znów kilka kwiatów z białej piki stanowi zapęcie białego sztywnego kołnierza.

W butonierce — duży kwiat śnieżnobiały zrobiony z organdi, piki lub błyszczącego płócienka.

— Lekkie płaszczyki letnie są z reguły nieco krótsze niż 3/4 długości, zupełnie luźne, krojem raglanowym. Materjały jasne, w jednym kolorze, chociaż i szkockie desenie cieszą się dużem powodzeniem.

— Woalki służą raczej tylko do celów dekoratywnych. Nie zasłaniają zupełnie twarzy, wystając trochę zaledwie poza rondo kapelusza.

KĄCIK KOSMETYCZNY

Metodyka zabiegów kosmetycznych

Troska o ideał piękności rodzi się samorzutnie w duszy każdej kobiety. Natura sama wyposażyła ją w odmienną, delikatniejszą i bardziej piękną cerę, „naturalną" czerwienią zabarwiła jej wargi, „naturalnym" blaskiem lśnią jej oczy. I żaden środek ani zabieg nie może iść w zawody z największym artystą, naturą — ale... To małe „ale" jest przyczyną i podstawą kosmetyki współczesnej.

Jej cel realny to utrzymać naturalny powab i usunąć istniejące braki. Umiejętna racjonalna pielęgnacja może zachować piękno naturalne cery, naturalny wyraz kobiecej twarzy, na której maluje się jej temperament, jej myśli i charakter. I stąd ten trud, z jakim kobieta każda stara się indywidualność swą i wrodzony jej wyraz utrzymać. Nawet jeśli natura odmówiła jej pewnych swych darów (a może tembardziej właśnie) stara się środkiem upiększającym wadom tym zaradzić.

Istnieje dziś tysiące środków i zabiegów, czy skutecznych, wiedzą Panie same. Tylko zabieg oparty na indywidualnej podstawie i naturalną metodą przeprowadzony umiejętnie i racjonalnie, może być celowy i skuteczny. Dlatego przed zdecydowaniem się na ten czy ów sposób postępowania powinno się chwilę czasu poświęcić na poznanie jego założenia i zasadniczego kierunku.

Światową sławę zyskała dziś metoda Elizabeth Arden, i pragnę jej słów kilka poświęcić. Salony kosmetyczne Elizabeth Arden rozsiane po całym świecie i pozostające pod jej osobistym nadzorem (Panie niejednokrotnie korespondują wprost z p. Elizabeth Arden albo korzystają z porad jej asystentek, które centrala rokrocznie do swych filij wysyła) tak są dziś popularne, że prawie każda z Pań spotyka się z tym czy innym środkiem Ardenowskim, czy to będzie puder, krem, róż czy t, p. Metoda Elizabeth Arden opiera się na 3 zasadniczych założeniach: oczyszczenie naskórka, odżywienia go i wzmocnienie. Etap pierwszy ma na celu usunięcie z pór cząstek prochu i zanieczyszczeń, które powodują porowatość skóry, tworzenie się wągrów i t. p.; potem zamyka się oczyszczone pory i lekko nakłada krem odżywczy. Kilka minut rano i wieczorem, to w kobiecym rozkładzie zajęć niedużo, i warto tych kilka chwil poświęcić, tembardziej, że wszystko odbywa się w domu. Do ożywienia mu skułów twarzy i szyji po zabiegu oczyszczającym służy specjalny „patter"; przez lekkie uderzanie wzdłuż linji muskułów ożywia się obieg krwi i podnosi działalność tkanek.

Bogactwo środków (kilkadziesiąt z górą preparatów) pozwala na indywidualny dobór, — tembardziej, że preparaty Ardenowskie zaopatrzone są w wyczerpujące przepisy i objaśnienia i sprzedawane są przez wykwalifikowane uczestniczki kursów Ardenowskich.

OLA,



Elegancka a zgrabna letnia sukienka: na czarnem tle barwne desenie kwiatowe. Słomkowy kapelusz o szerokiem rondzie, przybrany wstążką o podobnym wzorze.

Poradnik dla gosposi

MŁODA MARCHEW

Gotujemy ją w całości, i, aby wyglądała dekoratywnie, pozostawiamy na czubku nieco zieleninki. Do gotowania zalać niewielką ilością wody, a jak ta się wygotuje, podlewać marchewkę paroma łyżkami lekkiego rosołu. Przy końcu posolić, dodać cukru do smaku, łyżkę masła, zaprażyć mąką.

Modne torebki

W najnowszych modelach torebek zauważyć się dają charakterystyczne zmiany. Materjał został ten sam, t. j. miękka skórka, — ale wytłaczana w delikatne desenie, harmonizujące ile możności z deseniami materjałów odzieżowych.

Prawdziwa elegantka dba oto, by torebka, pasek i rękawiczki były z jednakiego materjału, a przynajmniej w jednym kolorze.

Przeważają kolory jasne, beige i popielaty.

Podajemy dziś kilka najnowszych modeli:

1) najmodniejszy fason torebki, rączka chromowana.

2) zgrabna torebka z miękkiej popielatej skórki, z oryginalną rączką.

3) inny fason torebki z miękkiej skórki koloru beige, rączka obciągnięta skórką.

4) zawsze modna torebka ze skóry krokodylej.



KOBIETY W AKADEMJI MEDYCYNY

Po raz pierwszy w historji 400-letniej król. Akademji medycznej w Londynie w skład jej cz.onków wybrano 2 kobiety: dr. Marion Maepherson-Mackay, asystentkę król. szpitala dziecięcego i dr. Jessie Roughton Browne, chlubę szkoły medycznej dla kobiet w Londynie.



Modny komplet z tafty w żywe kwieciste wzory.

Porady praktyczne

PRZEDMIOTY NIKLOWE odświeża się przez zanurzenie w czystym spirytusie z dodatkiem pół procent kwasu siarkowego. Następnie obmyć dobrze w zimnej wodzie.

SREBRO I PLATERY czyści się w następujący sposób. Na litr wody dodajemy 10 gr. octu i 40 gr. sody (węglanu sody). Po zanurzeniu w tej mieszaninie przedmiotów, obmywamy je w czystej wodzie i wkładamy celem ocieknięcia do trocin. Następnie, gdy już są suche, wycieramy je miękką zamszową skórką, cż nabiorą połysku.

PLAMY Z PLEŚNI na tapetach można usunąć, nacierając odnośne miejsca szmatką umaczaną w roztworze spirytusu i kwasu salicylowego. Na trzy części spirytusu bierzemy jedną część kwasu salicylowego.

JEDWABIE PRAĆ najlepiej w wodzie deszczowej, do której dodajemy amonjaku w stosunku 1:20.

SZTYWNĄ BIELIZNĘ prasuje się znacznie ładnicj jeżeli do krochmalu dodamy parę kropli gliceryny.

JAK PRAĆ JEDWABNE POŃCZOCHY?

Jedwabne pończochy wymagają starannego prania, ażeby mogły trwać długo. Przed praniem należy je zmoczyć w wodzie z odrobiną boraksu, a potem wycisnąć delikatnie i prać w letniej wodzie w rozgotowanem mydle. Gorąca woda niszczy jedwabne pończochy, którym szkodzi również wyżymanie; trzeba je tylko zlekka wycisnąć i powiesić w przewiewnem miejscu do wysuszenia.

KANDYDATKI NA PREZYDENTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Obok senatora Longa, gubernatora stanu Luisiana, wysuwającego swą kandydaturę na prezydenta Stanów Zjedn., staje jako kandydatka sędzia Florencja Allen i Józefina Roche, sekretarka min skarbu.

Na czele Ligi zawiązanej w celu przeprowadzenia kandydatur kobiecych na stanowisku prezydenta i wiceprezydenta Stanów Zjedn., stoi p. Liljana D. Rock, gorąca propagatorka idei, że nadszedł już czas, by kobiety objęły rządy.

Jak donoszą pisma amerykańskie, prezydentowa Rooseveltowa wypowiada się przeciw kandydowaniu kobiet na fotele prezydenckie, a za wprowadzeniem dużej liczby kobiet do kongresu, aby tą drogą przygotować do myśli o wyborze kobiety podczas następnych wyborów.

„Cała Polska gra"

Koncerty symfoniczne ze wszystkich rozgłośni R. P.

Zwracaliśmy niedawno na tem miejscu uwagę na pewne pociągnięcia Polskiego Radja, świadczące o dokonywującej się w łonie tej instytucji — poważnej, a doskonale zapowiadającej się ewolucji.

Zmieniło się dużo ostatniemi czasy w Warszawie, a zapowiadają się dalsze poważne zmiany. Oto przed paru dniami w biurach lwowskiej rozgłośni odbyła się konferencja w sprawie nowej organizacji koncertów symfonicznych P. R.

Organizacja ta przedstawia się w ogólnych zarysach następująco:

W sezonie jesienno-zimowym nadawanie koncertów symfonicznych przestanie być monopolem Filharmonji warszawskiej. Wszystkie bez wyjątku rozgłośnie regjonalne będą miały możność nadania w ciągu sezonu ośmiu koncertów symfonicznych w zasięgu ogólno-polskim.

Pierwszy ten sezon jesienno-zimowy będzie pod tym względem sezonem próbnym, poczem dopiero nastąpi kwalifikacja poszczególnych Filharmonij przez Cntralę P. R., a to na podstawie ich ośmiomiesięcznej działalności.

Na specjalne podkreślenie zasługuje fakt, że koncerty te mają mieć ile możności charakter regjonalny, t. j. powinny obejmować przedewszystkiem utwory regjonalnych kompozytorów, pod batutą miejscowych dyrygentów i z udziałem miejscowych solistów.

Zrealizowanie tej koncepcji, to bardzo poważny krok na drodze ku rozbudzeniu i ożywieniu życia muzycznego w danym rejonie.

To impuls do ożywienia twórczości kompozytorów, którzy w obecnych warunkach nie mają poprostu możności do zaprodukowania swych utworów przed jakiemś większem audytorjum. Dzięki inicjatywie P. R. nareszcie znajdą oni sposobność do publicznego wypowiedzenia się. Utwory, leżące dotąd całemi latami w teczce, słuchane będą przez dziesiątki tysięcy radjoabonentów w całej Polsce! Świadomość tego zachęci niejednego kompozytora do intensywniejszej pracy twórczej, którą dotychczas nie mogła nigdzie znaleźć zrozumienia i uznania.

Tożsamo dotyczy dyrygentów i solistów, którzy z całym zapałem będą mogli wziąć się do pracy, ożywieni szlachetną ambicją popisania się swemi zdolnościami na szerokiem forum.

Najważniejszą jednak jest sprawa orkiestry symfonicznej, czy Filharmonji regjonalnej. Na tym punkcie jest dużo do zrobienia, względnie do odrobienia.

Jak już wspomnieliśmy, nadchodzący sezon jesienno-zimowy, w którym te koncerty regjonalne będą nadawane, będzie sezonem próbnym, poczem dopiero nastąpi kwalifikacja poszczególnych rozgłośni i ich koncertów symfonicznych. A więc rodzaj egzaminu ze świadectwem dojrzałości. Następstwem tego, dobrze przemyślanego, systemu będzie szlachetna emulacja poszczególnych rozgłośni, prawdziwy „wyścig pracy“ na najpiękniejszym i najwdzięczniejszym terenie.

Jasną jest bowiem rzeczą, że każda z regjonalnych Filharmonij starać się będzie repertuar swój i jego wykonanie postawić na możliwie najwyższym poziomie. Że dążyć będzie do stworzenia jaknajlepiej zgranego zespołu orkiestralnego, którym mogłaby się pochwalić przed innemi rozgłośniami, a zwłaszcza przed Warszawą.

Jednem słowem — inicjatywę Centrali Polskiego Radja powita niewątpliwie z pełnem uznaniem cały świat muzykalny Polski.

A radjosłuchacz? Ten „szary człowiek“, dla którego przecież wprowadza się te wszystkie inowacje? Przedewszystkiem zadowolony będzie, że przynajmniej na tem polu skończy się dotychczasowa preponderancja Warszawskiej Filharmonji, ustępując miejsca daleko idącej decentralizacji.

Niemniejsze zadowolenie sprawi mu fakt, że „jego“ własna rozgłośnia będzie mogła co miesiąc nadać na ogólno-polskiej fali koncert symfoniczny, wykonany przez miejscowych artystów i w ten sposób popisać się przed światem, stanąć do wielkiego artystycznego turnieju.

Inaczej słuchać on będzie i inaczej ustosunkuje się do takiego „własnego“ koncertu. Grać tu będzie rolę zarówno ciekawość, jak i pewna lokalna duma: oto, co „my“ potrafimy! słuchajcie tylko!“...

I jeszcze jedno: koncerty te — w myśl założenia Centrali Polskiego Radja, posiadać mają zdecydowanie regjonalny charakter, ile możności nawet odnośnie samych kompozytorów. Doceniamy w zupełności wartość kompozycyj obcych, zagranicznych. Chylimy czoło przed symfonjami Beethovena, utworami Griega czy Brahmsa czy Saint-Saensa.

Ale pamiętajmy przedewszystkiem o sobie. Mamy podostatkiem własnych muzyków i kompozytorów, nie tak genjalnych może, nie tak znanych na szerokim świecie, ale zasługujących bezwzględnie na poznanie. I ostatecznie — każdy z nich mieszka w rejonie którejś z naszych rozgłośni, jest „regjonalnym“, — że użyjemy tego modnego określenia.

Nazwisko jego zainteresuje napewno więcej i znaczniejszą ilość słuchaczy, niż niewiele mówiące dla „szarego człowieka“ nazwisko znanego nawet kompozytora zagranicznego.

A i ten moment trzeba wziąć w rachubę, o ile idzie o rozbudzenie większego zainteresowania dla muzycznej kultury wśród szerokich sfer naszego społeczeństwa.

Jednem słowem — planowana przez P. R. reorganizacja na tym jednym odcinku życia muzycznego wykazuje same plusy, i to bardzo poważne. Powitają ją z prawdziwą radością wszyscy, którym dobro i rozwój muzyki w Polsce leży na sercu.

A jeżeli znajdą się krytycy czy malkontenci, to szukać ich trzeba chyba tylko w Warszawie i tamtejszej Filharmonji, która z pewnością niechętnie zrezygnuje ze swego dotychczasowego monopolu.

(Lucy)

„Teatr Wyobraźni" szuka

Teatr Wyobraźni szuka tematów... To najwyraźniej daje się zauważyć, robiąc zestawienie jego repertuaru za pewien dłuższy okres czasu. Jak we wszystkich sprawach, tak i tutaj — na dwoje babka wróżyła; jest w tem *dobre*, jest i *złe*. Dobre, bo mamy dużą różnorodność, złe — bo często jaskrawość różnic poszczególnych przedstawień nie jest akomodowana przez radjosłuchaczy.

Słyszeliśmy niedawno w Teatrze Wyobraźni dramat, zatytułowany *„We mgle“*; jako autora podano *pisarza japońskiego* Juuzo Jamamotu. Jest konwencjonalnym zwyczajem, że omawiając utwory sceniczne japońskiego pochodzenia, krytycy rozwodzą się szeroko nad genezą literatury japońskiej, podkreślając, że w rozwoju kulturalnym Kraj Wschodzącego Słońca przechodził dwa wielkie okresy chłonięcia cudzych wartości cywilizacyjnych. Pierwszy z nich, to okres chinizacji, gdy preponderancja kulturalna Chin bezkonkurencyjnie rozpierała się na kontynencie azjatyckim. Drugi — to okres gorączkowej europeizacji, który rozpoczęty w drugiej połowie 19-go wieku naszej ery, trwał niemal do teraz. Obecnie w kulturze japońskiej zaznacza się coraz wybitniej przemożność indywidualizmu narodowego, który nie gardząc zdobyczami obcych narodów, przedewszystkiem stara się zaakcentować i uwypuklić własne, rodzime pierwiastki.

Ale mimo tak szkicowego zarysu przejawów — które są znane każdemu inteligentowi — życia kulturalnego Japonji, przecie — mówmy szczerze — my sztuki scenicznej japońskiej *nie znamy;* bo wszak tych strzępków tłumaczonych na nasz język, nie można uważać za coś poważniejszego. A nawet przyjazd — dajmy nato — raz na dziesięć lat oryginalnej trupy japońskiej, nie wiele nas pod tym względem oświeci. Bądźmy szczerzy, my japońskiego teatru nie znamy i *nie rozumiemy*, a gdybyśmy go nawet poznali, to jednak ocena nasza nie licząca się ze smakiem estetycznym Japończyków, byłaby zbyt podmiotowa. Musimy przecież uwzględnić to, że kultura nasza i mentalność jest zasadniczo *różna* od japońskiej, tak, że wszelkie porównania czy paralele między niemi są zbyt sztuczne, by krytycznie myślący człowiek mógł w nie uwierzyć.

Mimochodem przypomina się anegdota o Polaku, który po wyuczeniu się języka angielskiego, wyjechał na Wyspy Brytyjskie i tam doskonale rozmawiał po angielsku ale... z Włochem, znajdującym się w takiej samej sytuacji. Natomiast z rodzimymi Anglikami obaj ani rusz porozumieć się nie mogli. Taksamo i w kwestjach japońskich doskonale rozumieją się nawzajem europejczycy, natomiast dyskusja między ostatnimi a Japończykami natrafja zazwyczaj na *zasadnicze* trudności. Rzecz znamienna, że dotyczy to nie tylko spraw politycznych i handlowych, lecz i kulturalnych, moralnych i etycznych.

O sztuce japońskiej, którą przedstawiono nam w przekładzie polskim, możemy jedynie powiedzieć, czy nam się *w całości* podobała. Podkreślam raz jeszcze *w całości*. Oczywiście musimy darzyć tłumacza pewną dozą zaufania, zwłaszcza, że często tłumaczenia dokonuje się „z drugiej ręki“, t. zn. przekłady z języków egzotycznych uskutecznia się z... przekładów istniejących w innych, europejskich językach. Jak się sprawa przedstawia z omawianym dramatem, nie wiem i mniejsza z tem. Nie wchodzimy w te subtelności.

Zgóry już powiem, że wspomniane słuchowisko Teatru Wyobraźni p. t. *„We mgle“* podobało mi się. Ekspresja dramatyczna nastroju wydobyta została doskonale pierwszorzędną grą artystów, oraz dyskretnem udźwiękowieniem. Nie szukając sensownego rozwiązania nikłego zresztą epizodu treści, a poprzestając jedynie na efektach barw *słuchowych i pojęciowych*, których to zestawienie w tej audycji dawało sumę doznań bezwarunkowo dodatnich, jak to już zaznaczyłem, stwierdzić muszę, że egzotyzm nastroju w całej pełni został osiągnięty.

Pozycję tę można więc wpisać w rubrykę udatnych audycyj słuchowiskowych.

W początkach naszej produkcji filmowej, oglądaliśmy na ekranach kinoteatrów film, szumnie zatytułowany „Wiatr od morza, według powieści Żeromskiego“. Ale w rzeczywistości w filmie tym, poza samym chyba... wiatrem, niczego z Żeromskiego nie zostało. Fakt ten przypomniał mi się, gdy słuchałem nadawanego przez Teatr Wyobraźni rozgłośni warszawskiej słuchowiska p. t. *„Katarzynka“* wg. noweli Prusa w opr. J. Mayena. Tym słuchaczom, którzy nie znają oryginału, słuchowisko to mogło się przedstawić jak najlepiej, zwłaszcza, że zagrano i wyreżyserowano je b. starannie; specjalnie piękne kreacje były „p. Tomasza“ i jego „Przyjaciela“. Zdaję sobie sprawę, że psychologiczne części noweli Prusa, bez ostrych skrótów nie dałyby się zradjofonizować, lecz trudno mi zapomnieć treść z tego pięknego oryginału.

Ubocznie wspomnę, że słuchowisko to, już poraz drugi znalazło się na deskach *„Teatru Wyobraźni“*.

r. R.

Głosy kobiet w Radjo

W jednej z majowych pogadanek p. t. „Mama nie ma czasu“ przedstawiła Janina Strzelecka niedolę serduszka dziewczęcego, którego tęsknota do bliskiego współżycia z matką załamuje się o stały brak czasu tej ostatniej. Ma go ona wprawdzie poddostatkiem na życie towarzyskie, dancingi, brydża, fryzjera, kosmetyczkę, na pracę społeczną — nierzadko na pracę zarobkową — a tylko na poznanie duszy własnego dziecka znaleźć go nie może. Dzieci wychowane w takiej atmosferze stają się zczasem nieśmiałe, skryte. drażliwe, a znieci rplione tem matki nawet nie zdają sobie sprawy, że jedno ich dobre słowo lub okazanie zainteresowania się sprawami dziecka, rozjaśniłoby mu życie i naprawiło zło, wyrządzone dotychczasową obojętnością.

„O pracy domowej, jako o zawodzie“ mówiła Zofja Miszewska. pocieszając „domowe dziewczęta“ bez wyższych studjów, że i dla nich znajdzie się zawsze odpowiednie zajęcie. Wywody swoje poparła praktycznemi wskazówkami o szkołach zawodowych, zapewniających korzystną pracę zarobkową. Ponieważ cykl pogadanek p. Miszewskiej, dla młodocianych słuchaczek, ma założenie wychowawcze, zatem autorkę obowiązuje nietylko sama treść, ale i poprawna forma wygłoszenia. Warunkom tym nie odpowiada ani język naszpikowany gwarą nibyto szkolną, mającą imitować swobodę koleżeńską, ani monotonne recytowanie słów, które działają raczej deprymująco.

Zbytni krytycyzm, z jakim przeważnie odnosimy się do bliźnich sprawia, że zamiast przyjaźnie współżyć z ludźmi, zbliżamy się do nich w roli surowych krytyków, którzy dostrzegają we wszystkiem same najgorsze strony, obniżające charaktery i uczynki. „Zdejmcie czarne okulary“ — proponuje autorka pogadanki pod tym tytułem, Marja Niklewiczowa — a wtedy dopiero przekonacie się, ile jest dobrych i mądrych ludzi na świecie, a także o ile piękniejsze i łatwiejsze jest obcowanie z ludźmi na platformie wzajemnej życzliwości i wyrozumiałości.

Pokrewne zagadnienie — tylko znacznie głębiej ujęte — poruszyła Irena Lelewel-Friemannowa w audycji p. t. „Człowiek człowiekowi wilkiem“, a przyczynę tej wzajemnej wrogości widzi w egoizmie i w małej kulturze życia zbiorowego. Istną jego plagą jest opryskliwość, nieufność, sobkostwo, publiczne kłótnie i bójki, złe spojrzenia i wogóle objawy nieprzyjaznych uczuć. Zdaniem autorki (nawiasem mówiąc pochodzącej z byłej Kongresówki) — Lwów, Wilno i kresy wschodnie pozbawione są tego wrogiego nastawienia wewnętrznego i na każdym kroku spotyka się tam człowiek z życzliwością i uczynnością. Ci ludzie widocznie rozumieją, że należy raczej wspomagać się i wspierać, aniżeli utrudniać i szkodzić — raczej współczuć, aniżeli osądzać i potępiać. I to jest jedyne właściwe stanowisko człowieka wobec człowieka. Ażeby je zająć, trzeba wypracować w sobie przekonanie, że nie pod kątem współzawodnictwa powinniśmy patrzeć na siebie, ale szukać uczciwych dróg do wzajemnego porozumienia, jako podstawy harmonijnego współżycia w gromadzie.

Dużo słusznych uwag wypowiedziała Janina Łaszczowa na temat potocznych pojęć o kulturze gestów „na codzień i od święta“. Przy pozorach wyrafinowanej kultury ciała — brak łazienki w domu. Dla gości — wspaniała zastawa stołowa, kwiaty, wyszukane potrawy. Dla domowników — brudny obrus, albo cerata, bylejakie potrawy, wyszczerbione talerze. Dla obcych uśmiechy, uprzejmość, skrzący dowcip — dla najbliższych brak humoru, opryskliwość, obojętność. Strój na ulicę przedstawia ostatni wyraz mody i szyku — domowy wymięty, zaniedbany, poplamiony. Co za opatrzne pojęcia! Wszak niezawodnym miernikiem prawdziwej kultury człowieka jest właśnie poziom atmosfery jego domu w życiu codziennem, a nie w tem od święta, na pokaz.

Aktualne sprawy kobiece omawiały panie Siemieńska i Sokalowa. Pierwsza przedstawiła stan równouprawnienia kobiet w Ameryce i w Europie. Wszędzie, jak poucza rzeczywistość, mimo ustaw i traktatów zależą kobiety od prawodawców, którzy w danej chwili mogą ukrócić przyznane prawa. Obecnie wre na całym świecie walka przeciw pracy zarobkowej kobiet, jakkolwiek bezstronność każe przyznać, że rozrosła się ona na podłożu konieczności ekonomicznej. W skomplikowanem życiu współczesnem wszelka niezaradność i bierność jest balastem nietylko dla rodziny, ale i dla zbiorowości społecznej. Bluszcze i powoje skazane są na zagładę, a w walce o byt zwycięży zawsze kobieta przygotowana do niej fizycznie i umysłowo. I o taką to kobietę walczy współczesny ruch kobiecy.

W referacie o „Międzynarodowych Organizacjach Pracy“ rozpatrywała p. Sokalowa zagadnienia opieki społecznej nad kobietami pracującemi. Międzynarodowe stowarzyszenie „Otwartych drzwi“ jest przeciwne tym świadczeniom w przekonaniu, że umniejszą one szanse kobiet na rynku pracy, i że jest to sposób, którym mężczyźni pragną unieszkodliwić kobietę jako współzawodniczkę przy starcie o zdobycie zarobku. Tymczasem kobieta — jako słabsza fizycznie w niektórych okresach życia (np. macierzystwo) — musi być chroniona. W tym więc przypadku ani niesprawiedliwość męska, ani ustawodawstwo ochronne nie ogranicza pracy kobiet, ale samo ich życie fizjologiczne. Kobiety muszą być usunięte od prac szkodliwie działających na ich, oraz przyszłego pokolenia, zdrowie — muszą mieć zabezpieczone urlopy, skrócony czas pracy i zapewnioną opiekę nad dziećmi. „Międzynarodowe Organizacje Pracy“, mając potężny wpływ na ustawodawstwo, powinny zapewnić ochronę najważniejszego elementu pracy, jakim jest niezaprzeczenie — człowiek.

K. SOBAŃSKA